

Celmar Michelle

Fantazje w lustrze

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Mówię ci, Riso, potrzebne ci takie urządzenie, którego używa się do polewania indyka w czasie pieczenia. Wiesz, taka duża stalowa pipeta z pompką.

Marisa Donato podniosła głowę znad kartonu, z którego wypakowywała właśnie świeżo dostarczone świece do aromaterapii. Lucy Lopez, jej współpracownica, cierpiała na umiarkowaną demencję, to Marisa wiedziała, ale coś takiego?

- Mam się zapłodnić pipetą do polewania indyka? Powiedz mi, że to żart.

- Skoro nie chcesz seksu, nie pozostaje ci nic innego.

Dwie dziewczyny, które oglądały biustonosze, posłały jej zdziwione spojrzenia. Rozmowy o seksie były do przyjęcia, kiedy sklep specjalizował się w gadżetach dla dorosłych i porno graficznych kasetach wideo. Kiedy Marisa zrobiła z niego elegancki butik z bielizną damską, seks odszedł w przeszłość, ale Lucy nie potrafiła wyzbyć się dawnych nawyków i z lubością rozprawiała o sprawach łóżkowych.

Marisa zniżyła głos.

- Nie mówię, że nie chcę seksu. Nie uznaję tego rodzaju seksu. Poza tym nawet gdybym zdecydowała zapłodnić się tym... sprzętem kuchennym, czego nie zrobię za chińskiego boga, to skąd miałabym wziąć... materiał genetyczny?

Lucy wzruszyła ramionami i powiedziała głośno, mając w nosie klientki:

- Nie wiem. Z banku spermy?

Od strony wieszaków z biustonoszami doszedł stłumiony chichot.

Marisa zniżyła głos do szeptu.

- Nie pójde tam przecież i nie powiem: „Cześć. Chciałam trochę spermy”. Poza tym to zupełnie pomyłony pomysł.

- W takim razie pipeta do indyka odpada. - Lucy wybrała jedną świecę, wyciągnęła zapalniczkę z kieszeni džinsów i w powietrzu rozszedł się zapach cynamonu.

- Dlaczego nie chcesz się zdecydować na sztuczne zapłodnienie?

- Lekarz twierdzi, że takie zapłodnienie udaje się w dziesięciu, piętnastu przypadkach na sto, a to jeden z najlepszych specjalistów w Michigan. Jeśli co miesiąc będę próbowała, to przy takich szansach wydam małą fortunę, zanim znajdę w ciąży, jeśli w ogóle... On mówi, że najlepsze byłoby naturalne zapłodnienie.

- To musisz albo znaleźć małą fortunę, albo zrobić to w staroświecki sposób.

- Otóż to. A że mam endometriozę, mogę czekać całe miesiące, zanim znajdę w ciąży.

Lucy oparła się o ladę.

- Potrzebny ci facet, który będzie gotowy na seks bez żadnych zobowiązań.

- Tak to wygląda. - Coś ją ścisnęło w żołądku na samą myśl o „seksie bez żadnych zobowiązań”. Jak na ironię jej matka byłaby zachwycona. Nic by jej nie wprawiło w większy zachwyty niż wiadomość, że córka co noc idzie do łóżka z nowym kandydatem na tatusia jej przyszłego wnuka.

- Mój Boże, Riso, który facet by się na to nie zgodził? W samym Royal Oak znajdziesz kilkuset takich.

Tego właśnie się bała. Perspektywa uprawiania seksu z jakimiś obcymi typami wydawała się dość... obleśna. Pech chciał, że nie miała żadnych innych opcji. I coraz mniej czasu.

Miesiączki stawały się coraz bardziej bolesne. Badania ginekologiczne potwierdziły jej podejrzenia: czekała ją radykalna operacja. Jeśli chciała mieć dziecko, to teraz.

W pierwszej chwili pomyślała o sztucznym zapłodnieniu, ale koszty były zawrotne, a szanse znikome. Adoptowanie

dziecka z innego kraju też było zbyt kosztowne, a w Stanach samotnej kobiecie nikt nie wydałby zgody na adopcję.

Pozostawało standardowe rozwiązanie pod tytułem „małżeństwo i dzieci”, tylko że w jej rodzinie standardowe rozwiązanie zupełnie się nie sprawdzało. Rodzice, razem licząc, mieli za sobą osiem rozwodów i tyleż bogate, co nieudane próby stworzenia sobie „życia rodzinnego”. Z takim bagażem rozsądniej było zapomnieć o małżeństwie. Zanim wyjechała na studia, straciła rachubę „wujków”, którzy przewinęli się przez jej dom.

Myślała, że nigdy nie będzie miała dzieci, ale ostatnio ilekroć widziała młodą kobietę z wózkiem, matkę z dzieckiem na spacerze w parku, czuła zazdrość, okropną zazdrość, która zamieniała się w tępy ból. Tęskniła za bezwarunkową miłością, nosiła tę miłość w sobie, chciała znaleźć dla niej ujście.

Ale seks z obcym facetem? Miałyby upaść tak nisko? Całe dorosłe życie wystrzegła się podobnych kontaktów.

- Nie wiem, czy potrafię - powiedziała Lucy. - To musiałby być ktoś, z kim naprawdę miałabym ochotę pójść do łóżka, co więcej - spłodzić z nim dziecko.

- To znajdź kogoś takiego. - Lucy odgarnęła rudy kosmyk z czoła. - Powiedz, jak go sobie wyobrażasz.

Marisa usadowiła się na stołku przy kasie i oparła łokcie na szklanej gablocie.

- Przede wszystkim musi być zdrowy. Żadnych obciążeń genetycznych.

- To rozsądne podejście. Co dalej?

- Musi być atrakcyjny. Niekoniecznie zabójczo przystojny, ale też nie maskara. No i powinien być miły. Nie pójdę do łóżka z kimś, kogo nie lubię.

- Nie są to bardzo wygórowane wymagania. - Lucy zaczęła wyliczać na palcach. - Zdrowy, w miarę przystojny, miły. Kto z naszych znajomych spełnia te warunki?

Zadźwięczał dzwonek nad drzwiami i Marisa już otworzyła usta, żeby przywitać klientkę, ale zamiast klientki w progu pojawił się jej najlepszy przyjaciel, Jake. Trochę zgrzany, jako że na dworze panował lipcowy upał, w pomiętej wzorzystej koszuli, w szortach i sandałach.

Uśmiechnął się szeroko do dziewczyn.

- Cześć, staruszki. Co słychać?

Marisa spojrzała na Lucy, Lucy spojrzała na Marisę, a potem obie jak na komendę wbiły spojrzenie w Jake'a.

- Risa? - Pytanie Lucy było aż nadto czytelne.

Jake? Pewnie. Pomysł prawie tak samo dobry jak pipeta do polewania indyka. Marisa przyjaźniła się z nim od szkoły podstawowej. Kiedyś nawet się w nim podkochiwała. Wszystkie dziewczyny w szkole podkochiwały się w Jake'u Carmichaelu. Każda przez to musiała przejść wcześniej czy później: taki ryt inicjacyjny nastoletnich pańienek.

Tyle że Marisa nie była już nastolatką i nie zamierzała niszczyć ich przyjaźni. Przyjaźń z Jakiem zbyt wiele dla niej znaczyła.

Pokręciła głową.

- Wykluczone.

Jake potarł dwudniowy zarost.

- Co mi się tak przyglądacie?

- Niby jak? - zapytała i uśmiechnęła się nieszczerze. - Myślałam, że siedzisz w studio.

- Musiałem zrobić sobie przerwę. Mam sandwicze w samochodzie. Pomyślałem, że może zjemy lunch w parku.

- Dobry pomysł - zachwyciła się Lucy. - Sama po - wiedz, czy nie jest z niego miły facet?

- Tak, Lucy. Miły z niego facet - przytaknęła i posłała Lucy ostrzegawcze spojrzenie: „milcz”.

Niestety, Lucy po prostu nie odbierała subtelnych sygnałów.

- Świetnie dziś wyglądasz, Jake - oznajmiła. - Bardzo atrakcyjnie.

Spojrzał na swoje wymięte ubranie, przeczesał dłonią ciemne włosy.

- Naprawdę?

- Zdecydowanie. Atrakcyjnie i zdrowo. Założę się, że w twojej rodzinie nie ma żadnych obciążeń genetycznych.

Marisa pod ladą kopnęła Lucy w goleń i uśmiechnęła się do Jake'a.

- Wyjmij kanapki z samochodu, dołączę do ciebie za chwilę.

Ledwie zamknęły się drzwi za Jakiem, Lucy otworzyła buzię.

- Nie. - Marisa była szybsza. - Nawet o tym nie myśl.

- Dlaczego nie? Doskonale się nadaje. Nie rozumiem, jak można się przyjaźnić z facetem i nie mieć ochoty pójść z nim do łóżka.

Marisa zeskoczyła ze stołka, wsadziła do kieszeni telefon komórkowy.

- To nie jest tego rodzaju znajomość.

- Dlaczego nie?

- Bo nie. A pomyśl, żeby zapłodnił mnie jakiś obcy facet, jest obrzydliwy. Nie zrobię tego, Lucy. Musimy wymyślić coś innego.

Dwie klientki, które kręciły się dotąd po sklepie, podeszły do lady.

- Czy to był Jake Carmichael, ten saksofonista? - zapytała jedna z nich, kładąc na kontuarze jadownicę różowy biustonosz.

- Ten sam - przytaknęła Marisa, wybijając cenę. Dziewczyna dała kuksańca koleżance i obydwie zachichotały.

- Mówiłam ci, że to on. Taki przystojny! Marisa omal nie przewróciła oczami.

- Może kupią panie olejek aromatyczny albo świecę?

- Widziałam panią kilka razy w tym barze, w którym on gra. Zawsze siedzi pani z przodu. To pani chłopak?

- Nie powinnyśmy nic mówić... - Lucy tajemniczo zawiesiła głos. - To jeszcze nic oficjalnego.

- Nie zdradzimy nikomu - obiecała nabywczyni jadowicie różowego stanika.

Jej koleżanka pokiwała z zapalem głową.

- Ani słowa nikomu. Przyrzekamy.

- Skoro obiecujecie, że będziecie milczały... - Lucy nachyliła się, zniżyła głos. - Są zaręczeni. Ślub na wiosnę.

- Naprawdę? - Dziewczyna od stanika wyglądała na załamana. - Ma pani szczęście. On jest niesamowity.

Marisa uśmiechnęła się do dziewczyn.

- Powiem mu, że były tu dzisiaj jego fanki. Na pewno będzie mu miło. - Nieprawda. Pomimo coraz większej popularności, Jake pozostał tym samym Jakiem. Podziw i uwielbienie przyprawiały go o mdłości.

- Może mu pani nas kiedyś przedstawi - ośmieliła się ta od biustonosza. - Poprosiłybyśmy go o autograf, na przykład.

- Albo o pukiel włosów - mruknęła Lucy pod nosem.

Marisa przygryzła policzki, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Pomyślimy - obiecała i zapakowała różowy stanik w różową bibułę, po czym włożyła go do firmowej torby. - Zapraszamy ponownie.

Kiedy wyszły, rozchichotane, Lucy skrzywiła się z niesmakiem.

- Jak ja nie lubię tych rozchichotanych panienek.

- Wiem, ale trochę przesadziłaś.

- I co z tego? Zabawiłyśmy się trochę ich kosztem. Wracając do seksu...

- Nie. - Marisa pokręciła głową. - Nie będziemy wracać do seksu.

- No coś ty...

- Nie. Znikam. - Podeszła do drzwi, otworzyła je i z ulicy buchnęła fala wilgotnego żaru. - Dzwon na komórkę, jak poczujesz, że dłużej nie pociągniesz.

- Zastanów się! - zawołała za nią Lucy. - Jake byłby idealny!

Marisa wypadła na ulicę, mignęła jej przed oczami kolorowa koszula i zderzyła się czołowo z męskim ciałem.

- Ej! - Jake chwycił ją w ramiona. - Co to za pośpiech?

Zatraskujące się drzwi wbiły ją jeszcze bardziej zdecydowanie w ramiona Jake'a. Oparła dłonie na jego piersi i natychmiast wyobrazila sobie czynności, które wykonywaliby wspólnie, by sprowadzić na świat dziecko. Przeszedł ją lekki dreszcz.

Nigdy nie myślała o podobnych zatrudnieniach, a już na pewno nie brała pod uwagę współudziału - w ruch Jake'a. Winna była oczywiście Lucy i jej sugestie, że ona i Jake'a mogliby... Nie, na pewno nie mogliby.

- Do czego byłbym idealny? - zainteresował się Jake. Usłyszał.

- Ehm...

Ciągle trzymał dłonie na jej ramionach. Miał duże, mocne, ale wyjątkowo delikatne dłonie, ładne, długie palce. Biło od nich dziwne gorąco, które zdawało się rozchodzić po całym ciele.

- Ziemia do Marisy. Dobrze się czujesz?

Stali na środku chodnika i blokowali tak zwany ruch pieszy. Zbita z tropu reakcjami własnego ciała uwolniła się z objęć Jake'a.

- Dobrze. Chodźmy.

- Do czego byłbym idealny? - powtórzył Jake, kiedy ruszyli w stronę parku.

- Drobiazg. Nic takiego. - Marisa czuła, że oblewa ją pot.

Temperatura musiała sięgać mniej więcej miliona stopni, co wszak nie wyjaśniało faktu, że pałały jej policzki. Nie miała wątpliwości, że Lucy zrobiła to specjalnie. Gdyby trzymała buzię na kłódkę...

- Znam cię siedemnaście lat i wiem, kiedy kłamiesz. - Jake nie dawał jej spokoju. - Powiedz wreszcie, o co chodzi.

Pokręciła głową.

- Lepiej, żebyś nie wiedział.

- Chcę wiedzieć.

- Lepiej nie. Zaufaj mi.

- Mariso, ty się czerwienisz. Rany, nie mógłby się odczepić?

- Pospieszmy się, bo ktoś zajmie nasze ulubione miejsce.

- Szła coraz szybciej, prawie biegła.

Jake był od niej wyższy o dobre dwadzieścia centymetrów i bez problemu dotrzymywał jej kroku, natomiast Marisie niewątpliwie groził atak serca.

- Nie przestanę pytać, więc wreszcie wyduś z siebie, o co chodzi.

- Nie mogę.

Spojrzał na nią spod rzęs, a rzęsy miał takie, że każda kobieta dałaby się zabić za spojrzenie spod nich.

- Proszę.

- Mowy nie ma.

- Bardzo ładnie proszę. - Uśmiechnął się słodko. Wiedziała, że nie odpuści, dopóki mu nie powie. - Mów. Do czego jestem idealny?

- Do uprawiania seksu - wypaliła. - Lucy uważa, że jesteś idealnym kandydatem do uprawiania seksu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jake popadł w niejaki osłupienie. Lucy uważa, że jest idealnym kandydatem do uprawiania seksu. Hmm. Nie wiedział, jak ma zareagować.

- Ostrzegałam cię. - Marisa spąsowiała, - Ale ty musiałeś koniecznie wiedzieć.

Ostrzegła go i jak zwykle miała rację. Powinien w końcu nauczyć się powściągać swoją ciekawość. Miał to od dziecka i zawsze źle się kończyło.

Rozłożyli się pod swoim ulubionym dębem w pobliżu fontanny.

Marisa usiadła na kocu, odrzuciła włosy do tyłu, podciągnęła kolana pod brodę.

- Powiesz coś?

Lucy. Seks. Słusznie, należało to skomentować. Wyciągnął się na kocu, podparł na łokciu.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Głęboka zmarszczka na czole Marisy, rozczarowana mina. Cholera. Nie chciał jej urazić. Ale Lucy?

- Lucy jest miła. Wiem, że się przyjaźnicie... - Wzruszył ramionami. - Ale nie jest w moim typie.

- Lucy? - Zmarszczka się pogłębiła. Marisa najpierw się zdziwiła, potem wybuchnęła śmiechem.

Był to piękny śmiech, głęboki, melodyjny, można rzec - symfoniczny. Lubił ją rozśmieszać. Bardzo to było miłe, ale jeszcze milej byłoby wiedzieć, z czego się śmieje.

- Pomyślałeś, że chcę cię umówić z Lucy?

Teraz w ogóle przestał cokolwiek rozumieć.

- Nie chcesz?

Marisa popłakała się ze śmiechu.

- Spokojnie, Jake. Lucy nie ma na ciebie ochoty. Mówiła hipotetycznie.

- Czuję się pochlebiony. - Co ona ma na myśli? Nie zapyta jej przecież wprost. Nigdy. Dlaczego rozmawiają o nim? Czyżby Marisa...?

Nie. Odrzucił tę myśl, zanim zdążyła wyrazić się wyartykułować i zamienić w nadzieję. Nauczył się nie marzyć o rzeczach nieosiągalnych.

Każdy ma swoje przeznaczenie, a jemu zdecydowanie nie było pisane życie rodzinne. Powinien o tym pamiętać.

Przewrócił się na brzuch, otworzył chłodziarkę i wyjął kanapki, chipsy i puszki z wodą mineralną.

- Kurczak czy tuńczyk?

- Wiesz, nie powinieneś był zdejmować koszuli - zdjął ją właśnie przed chwilą - i siedzieć tu półnagi. Wszystkie kobiety w parku gapią się na ciebie.

Rozejrzał się. Rzeczywiście kilka dam wlepiło w niego gorące spojrzenia, podczas gdy Marisa spokojnie wydłubywała cebulę ze swojej kanapki i rzucała ją na trawę.

Pociągnął ją za rękaw. Nie rozumiał, jak w taki upał można owijać się w całe zwoje materiału: długa, sutą spódnica, obszerna bluzka...

- Ubiorę się, jeśli ty się rozbierzesz. Częściowo.

- Bardzo śmieszne.

- Mówię poważnie. Masz dobrą figurę. Dlaczego ją ukrywasz?

- Gdybyś wyglądał tak jak ja, też byś się ukrywał.

- Wielu mężczyzn lubi tak zwane dorodne kształty.

Ty też? - miała ochotę zapytać, ale ugryzła się w język. Po pierwsze, wiedziała, że Jake lubi dziewczyny wysokie, ciemnowłose i chude. A ona była niska, jasnowłosa i na pewno nie chuda. Po drugie, nie miało to żadnego znaczenia. Był jej najlepszym przyjacielem, kumplem. Nie pociągała go. W tym sensie.

- Widocznie nie podobają mi się faceci, którym podobają się takie kobiety jak ja. - Wiedziała, co to za faceci: zainteresowani wyłącznie bujnymi kształtami. Faceci jak ci, których sprowadzała do domu jej matka. Którzy patrzyli na nią oblesnym wzrokiem.

To nie dla niej.

Z daleka dochodziły piski i śmiechy bawiących się dzieci. Na wszelki wypadek wołała nie patrzeć w tamtą stronę. Żadnego seksu z obcymi facetami. Nie zniosłaby tego. Pozostawało sztuczne zapłodnienie albo adoptowanie dziecka z zagranicy. O ile zgromadzi potrzebne pieniądze. Jeśli nie uda się jej zebrać pieniędzy, jeśli miałyby to trwać zbyt długo, będzie musiała zapomnieć o macierzyństwie.

Bolesna świadomość.

- Marisa? Ty płaczesz?

Dotknęła policzka i ze zdumieniem stwierdziła, że jest wilgotny. Co się z nią dzieje? Zmieszana pociągnęła nosem i otarta łzy. Jake usiadł.

- Boże, przepraszam. Ja żartowałem. Nie chciałem zrobić ci przykrości.

- To nie przez ciebie, Jake. Po prostu mam zły dzień. Zaczęłam myśleć o dzieciach, no i...

Uderzył się w czoło.

- Twój specjalista. Zapomniałem, że byłeś u niego. Co ci powiedział?

- Wszystko wskazuje na to, że na razie nie mam na co liczyć. Jeśli w ogóle.

Jake zbyt dobrze znał Marisę. Miała niezdrowy zwyczaj zamykać się w sobie i zadrećcać. W takich chwilach nie wolno było zostawiać jej samej. To była jedna z takich chwil.

- Chodź tutaj.

Spojrzała na niego żałośnie. Wargę jej drżała, ale dzielnie starała się powstrzymać łzy.

- Już wszystko dobrze, naprawdę.

- Nieprawda. Wiem, jak bardzo chcesz mieć dziecko. -
Przysunął się bliżej i przytulił ją.

Chciał ją zmusić, żeby wypłakała się w jego ramionach. Gładził ją po włosach, łzy Marisy spływały mu obfitą strugą po piersi i było to doznanie... niemal erotyczne.

Erotyczne? Paskudztwo. Marisa potrzebowała pociechy, wsparcia, ramienia, na którym mogłaby się wypłakać. Kosmate myśli związane z Marisą były do wybaczenia w szkole średniej, kiedy odezwały się hormony.

Potem nauczył się panować nad swoimi popędami. Może nie do końca, ale nauczył się. Czasami tylko pozwalał sobie na małe gry wyobraźni: Marisa w seksownej bieliźnie, najlepiej koronkowej, czerwonej albo, jeszcze lepiej, czarnej.

No i proszę, podniecił się zupełnie niepotrzebnie. Nie powinien myśleć o czarnych koronkach. A już na pewno nie o Marisie w czarnych koronkach. Ale chciałby poczuć jej dłonie na nagich plecach albo musnięcie jej pachnących włosów na policzku.

Dotknąć jej piersi...

Dość tego. Nie będzie myślał o jej piersiach. Choć trudno nie myśleć o takich rzeczach, kiedy Marisa tuli się do niego. Nagle uświadomił sobie, że jego ręce zaczynają niebezpiecznie błądzić po jej ciele.

Może też to poczuła, bo odsunęła się i wyjęła chustkę z kieszeni.

- Przepraszam cię - mruknęła, wycierając nos. Uśmiechnęła się przez łzy. - Musiałam chyba odreagować.

- Odreagowuj, kiedy chcesz. Po to jestem.

- Cały jesteś mokry... - Wyciągnęła kolejną chusteczkę z opakowania i wytarta mu pierś i ramię. Kiedy niechcący dotknęła jego brzucha, drgnął mimo woli i Marisa szybko cofnęła dłoń. - Przepraszam.

Zapadło niezręczne milczenie i po chwili znowu zalała się łzami.

Serce mu się kroilo na widok jej rozpacz. Marisa zasługiwała na szczęście.

Bez żadnych niestosownych myśli objął ją serdecznie.

- Tak mi przykro. Mogę ci jakoś pomóc?

Mógłbyś się ze mną przespać. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby powiedziała to na głos. Przeraziłby się? Zaciekawil? Dostałby napadu histerycznego śmiechu?

Pewnie to ostatnie. Próżne spekulacje. Nie pójda przecież razem do łóżka. Nigdy go o to nie poprosi. Nie zniosłaby odmowy.

- Nigdy nie oszczędzałam i teraz to się odbija. Zastanawiałam się, czy nie zaciągnąć kredytu hipotecznego na sklep, ale jeśli mam mieć dziecko, nie mogę ryzykować.

- Gdybym miał pieniądze, pożyczylbym ci, ale całą kasę włożyłem w produkcję płyty. Co prawda ciągle ktoś zgłasza się do studia z jakimiś propozycjami, ale nadal jest cienko.

- Jakoś sobie poradzę. Muszę się pogodzić z tą sytuacją.

Zarost Jake'a kłuł ją w policzek, czuła zapach cukierków miętowych, które ssał bez przerwy, od kiedy rzucił palenie. Nie była pewna, czy tylko się jej wydaje, czy rzeczywiście wyjątkowo dużo dzisiaj między nimi uścisków i tulenia się. A może nie więcej niż zwykle, ale odczuwa je inaczej. Skądinąd całkiem to było... miłe.

Zbyt miłe.

- Gdybyśmy zebrali nasze pieniądze do kupy, to starczyłoby albo na dziecko, albo na płytę. Jedno z nas musiałyby się poświęcić. Okropne.

- Mogłabym zajść w ciążę, gdybym znalazła odpowiedniego faceta... - Ledwie to powiedziała, uświadomiła sobie, że popełniła okropny błąd, ale stało się, nie mogła już cofnąć wypowiedzianych słów.

Dłoń Jake'a, który głaskał ją po plecach, znieruchomiała.

- Faceta? Po co? - zapytał inteligentnie. Zapadła martwa cisza. Marisa uwolniła się z jego objęć i spojrzała na nadgarstek.

- Strasznie późno się zrobiło. Rzeczywiście, tyle że Marisa nie miała zegarka.

- Dokąd się spieszysz?

- Muszę wracać do sklepu. Zostawiłam Lucy samą.

Jake patrzył, jak Marisa zawija nie napoczętą kanapkę i wkłada do chłodziarki, i nagle rozjaśniło mu się w głowie.

- O czym rozmawialiście, kiedy wszedłem do sklepu? Unikała jego wzroku.

- No wiesz, o seksie.

- Ale dlaczego?

- Bez powodu. - Chciała wstać, ale pociągnął ją za rękę, zmuszając, żeby usiadła.

- Znowu się zaczerwieniłaś. Marisa przytknęła palce do policzka.

- Mówiłyście o zajściu w ciążę? Przygryzła wargę i pokiwała głową.

Jake'owi serce zaczęło bić jak oszalałe. Ledwie zdołał wykrztusić kolejne pytanie.

- To o to chodziło, kiedy Lucy powiedziała, że byłbym idealny?

Ledwie mógł uwierzyć, widząc, jak niepewnie kiwa głową. Puścił jej dłoń i przez chwilę trwał w bezruchu, kompletnie osłupiały. Marisa z nim miałyby zajść w ciążę? Lucy uważała go za doskonałego kandydata. A co myśli Marisa? Co on sam o tym myśli?

Cała sprawa niosła jedną, niezaprzeczalną korzyść: seks z Marisą. Dla tego warto było rozważyć pomysł Lucy. Tylko że on dawno zdecydował: nigdy nie założy rodziny. Byłby okropnym ojcem i równie okropnym mężem. No tak, ale

Marisa nie chciała tradycyjnej rodziny, monologował w myślach. Chciała mieć dziecko.

Jego dziecko?

- Wiem, wiem - zaśmiała się nerwowo. - Powiedziałam Lucy, że to głupi pomysł. Absurdalny.

- Absurdalny... - powtórzył, czując równocześnie ulgę i rozczarowanie.

Albo uznała, że nie nadaje się na ojca jej dziecka, albo sama myśl o pójściu z nim do łóżka napawała ją wstrętem.

Tak czy inaczej, miała rację. Pomysł był absurdalny.

- Idziemy? - Marisa wstała, podniosła chłodziarkę. Miała słońce za plecami, nie widział jej twarzy, ale z tonu głosu mógł wywnioskować, że chciałyby jak najszybciej uwolnić się od jego towarzystwa.

Kiedy doszli do sklepu, oddała mu chłodziarkę.

- To nie popsuje układów między nami? - zapytała niepewnie.

Mogłoby popsuć, ale nie zamierzał brać tego do siebie. Nie mógł mieć do niej pretensji, że nie widzi w nim ojca swojego dziecka. W końcu znała go lepiej niż ktokolwiek inny.

- Wiesz, ile kobiet przychodzi do mnie po koncertach i deklaruje, że chciałyby mieć ze mną dziecko? Jestem przyzwyczajony.

- Bez urazy?

- Bez urazy.

Położyła dłoń na klawce i jeszcze się odwróciła do niego.

- Wiesz, to byłoby dziwne. My... razem. Skinął głową.

- Dość dziwne.

- Nie mówię, że złe. Po prostu dziwne. Wszystko by się zmieniło.

- Na pewno. - Może na lepsze. A może nie. Tego nie wiedział, ale bał się, że ich przyjaźń mogłaby się skończyć.

- Grasz dzisiaj wieczorem? - zagadnęła.

- Zaczynamy o wpół do dziesiątej. Jeśli chcesz przyjść, wpadnę po drodze po ciebie.

- Dobrze.

Otworzyła drzwi, spojrzała jeszcze na niego przez ramię. Miała taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, po czym pokręciła głową i zniknęła w sklepie.

Jake nie mógł uwolnić się od wrażenia, że tak czy owak wszystko się zmieniło.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Risa, Jake przyszedł! - zawołała Lucy. - Jesteś gotowa?
Marisa schowała paragony z całego dnia, włożyła utarg do sejfu.

- Zamykaj już. Zaraz będę gotowa. Jake zajrzał na zaplecze.

- Mogę w czymś pomóc?

Otarła pot z czoła. Ból w dole brzucha znowu się odezwał.

- Dzięki. Za moment będę gotowa.

- Ej, dobrze się czujesz? Jesteś blada. Uśmiechnęła się z przymusem.

- Babskie sprawy.

Pokiwał głową. Nie musiała mu tłumaczyć nic więcej. Nie pierwszy raz widział, jak walczy z bólem, i zapewne nie ostatni.

- Jeśli kiepsko się czujesz, może nie idź ze mną do baru.

- Nic mi nie będzie. Powiedz Lucy, że zaraz kończę.
Sięgnęła po buteleczkę z aspiryną i połknęła trzy tabletki. Oparła się o umywalkę, wzięła trzy głębokie oddechy i czekała, aż skurcze miną. Każdy taki atak przypominał jej, że ma coraz mniej czasu. Nie powinna zbyt długo zwlekać z operacją.

- Riso! - Na zaplecze zajrzała teraz Lucy. - Ktoś do ciebie.

- Powiedziałaś, że już zamknięte?

- Powiedziałam, ale to podobno osobista sprawa. Jakiś facet z córką.

Jakiś facet z... Nie, niemożliwe. Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Tylko nie dzisiaj.

Przeszła do sklepu. Oczywiście to był on. Zawsze objawiał się w najmniej odpowiednim momencie. Chociaż, jeśli o niego chodzi, nie było odpowiednich momentów. Ile to czasu minęło? Rok? Trochę więcej?

Wysoki, przystojny, nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt dwa lata, najwyżej na czterdzieści. Może tylko szpakowate skronie zdradzały jego wiek. Dziewczyna, która mu towarzyszyła, uwiesiła mu się na ramieniu, jakby się bała, że nie ustoi o własnych siłach na kilkunastocentymetrowych obcasach.

- Witaj, Mariso - powiedział sztywno i potoczył pełnym niesmaku spojrzeniem po wnętrzu sklepu.

Próbowała się nie przejmować, ale ciągle tkwiła w niej mała dziewczynka, która chciała zaskarbić sobie jego pochwały.

- Witaj, Joseph. Dawno się nie widzieliśmy.

- Chciałem przedstawić cię Julii.

- Tak się cieszę, że wreszcie cię poznałam, Mariso. Tyle o tobie słyszałam.

Na pewno, pomyślała Marisa, ściskając drobną dłoń.

Joseph zawsze lubił młodsze kobiety, ale tu różnica była po prostu niesmaczna. Dziewczyna mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat.

Lucy miała mocno zdziwioną minę. Jake stał koło lady i zachowywał się tak, jakby chciał zniknąć.

- Gdzie moje maniery? - ocknęła się Marisa. - Joseph, to mój przyjaciel Jake, a to Lucy Lopez. Pracujemy razem. Lucy, to Joseph Donato, mój ojciec.

Joseph lekko skłonił głowę.

- Kiedy ten wielki dzień? - zapytała Marisa. Julia zmieszala się.

- Powiedziałeś jej?

- Twój pierścionek mi powiedział - uspokoiła ją Marisa i zwróciła się do ojca: - Który to ślub? Piąty czy szósty?

Joseph nerwowo poruszył zuchwą.

- Doskonale wiesz, że Melinda była moją czwartą żoną. Julia będzie piątą.

- Z tobą nic nie wiadomo - odparowała Marisa. - Mogło po drodze zdarzyć ci się jakieś małżeństwo, o którym zapomniałeś mnie poinformować.

- Mariso - Julia przejęła inicjatywę. - Chcieliśmy zaprosić cię na kolację, żeby uczcić nasze zaręczyny.

- Naprawdę? - Nie mogła ukryć zdziwienia. - Kto wpadł na ten pomysł?

Julia zerknęła niepewnie na Josepha.

- My... oboje.

Nie umiała kłamać. Joseph sam z siebie nigdy nie zaprosiłby Marisy na kolację, ale nie miała powodów być niemila dla Julii.

- Przepraszam, ale mam już piany na dzisiejszy wieczór. W każdym razie dziękuję za zaproszenie.

- Będiesz na ślubie, prawda?

Nigdy nie była na żadnym ślubie ojca. Poza drugim. Na który matka wysłała ją w starej sukience i zdartych butach. Chciała, żeby goście weselni zobaczyli, jakim Joseph jest wyrodnym ojcem. Nie pomyślała, jak Marisa będzie się czuła w narzuconej jej roli.

- Twój ojciec cię nie kocha - oznajmiła. - Myśli wyłącznie o sobie. Niech wszyscy zobaczą, co z niego za człowiek.

Matka miała szafę pełną firmowych ciuchów, ale kiedy trzeba było kupić coś do ubrania Marisie albo zapłacić czynsz, źródółko wysychało.

- Osiemnastego sierpnia. Przyjdiesz? Marisa szukała gorączkowo jakiejś wymówki.

- To dla nas bardzo ważne. - Julia posłała Marisie niemal błagalne spojrzenie. - Przyjdź, proszę.

Zrobiło się jej żal dziewczyny.

- Przyjdę.

- Świetnie - ucieszyła się Julia. - Przyślemy ci zaproszenie.

- Musimy już iść. - Joseph ujął narzeczoną pod ramię. -
Mamy zarezerwowany stół.

- Miło było cię poznać. - Julia mocno uścisnęła dłoń
Marisy. - Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy.

Joseph skinął jej głową.

- Trzymaj się, Mariso - powiedział, prowadząc Julię do
wyjścia.

- Miło było was poznać, Lucy, Jake - Julia pomachała im
jeszcze na pożegnanie i drzwi się zamknęły.

- Uff... - Lucy oparła się o ladę. - Ciężka sprawa.

- Owszem - zgodził się Jake. - Bardzo ciężka.

- Masz przystojnego ojca - zauważyła Lucy. Marisa
wyjęła torebkę z szafy, z torebki wyciągnęła klucze.

- Nie myśl, że on o tym nie wie.

Lucy zgasiła światła i cała trójka ruszyła do wyjścia.

- Naprawdę pójdziesz na ślub?

- Chyba tak. Z ciekawości. - Wyszli na ulicę, w duszący
żar. Marisa zamknęła sklep.

- W twojej rodzinie było tyle skandali. Zazdroszczę ci. W
mojej rodzinie są sami praktykujący katolicy. Nuda.

Szli Main Street w kierunku baru. Jak w każdy piątkowy
wieczór na modnej, eleganckiej ulicy roiło się od ludzi.

- Wierz mi, Lucy, to wcale nie jest takie ekscytujące, jak
ci się wydaje. Szczególnie dla osób, których to bezpośrednio
dotyczy.

Jake kiwał tylko głową w milczeniu. Wychował się w
równie dysfunkcyjnej rodzinie i nikt nie musiał mu
tłumaczyć, co to oznacza.

Doszli do baru, wyminęli kolejkę chętnych czekających na
wolne miejsce, potem jeszcze musieli przecisnąć się przez
tłum w środku i dotarli do zarezerwowanego stolika przy
samym parkiecie.

- Dołączę do was, jak skończymy grać - powiedział Jake i wszedł na podwyższenie dla orkiestry.

Lucy pociągnęła Marisę za rękaw.

- Jake świetnie dzisiaj wygląda. Marisa oderwała spojrzenie od podium.

- Słucham?

- Mówię, że Jake świetnie dzisiaj wygląda. Zaczerwieniła się, speszona, że Lucy ją przyłapała na podziwianiu Jake'a.

- Owszem - przytaknęła, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

- Chcesz chusteczkę?

- Po co?

- Obśliniłaś się.

Zanim zdążyła wymyślić ripostę, pojawiła się kelnerka, przyjęła zamówienia, a w chwilę później Jake przedstawił swoją orkiestrę i rozległy się pierwsze powolne, rozkołysane takty muzyki.

Marisa podparła brodę dłonią i zasłuchała się w melodię, której nie знаła. Jake patrzył cały czas na nią, miała wrażenie, że gra tylko dla niej. Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby grał z takim uczuciem.

Utwór trwał trzy kwadranse, a kiedy się skończył, buchnęła burza oklasków i Marisa się ocknęła, wróciła do rzeczywistości. Muzyka Jake'a poruszyła wszystkich, nie tylko ją. Ale patrzył tylko na nią...

Jake podziękował, przywitał didżeja i rozdając autografy, przecisnął się do stolika Marisy i Lucy. Marisa podniosła się, żeby go uściskać, i w tej samej chwili została odepchnięta przez wysoką, długonogą blondynkę, która siedziała tuż za nimi. Marisa straciła równowagę, zatoczyła się na stolik, a energiczna blondynka przyczepiła się do Jake'a jak pijawka i coś szeptała mu do ucha.

Jake zaśmiał się, coś odszepnął, blondynka podała mu swoją wizytówkę, którą schował do kieszonki koszuli. Marisa pomyślała, że wcale nie patrzył na nią.

Wpatrywał się w blondynkę, która siedziała z tyłu.

Marisa poczuła się dotknięta, urażona w swojej dumie. Co ona sobie wyobraziła? Jak mogła uwierzyć, że Jake zobaczył w niej kogoś innego niż przyjaciółkę? Skąd w ogóle przyszedł jej do głowy pomysł, że mógłby być ojcem jej dziecka? Że całkiem przyjemnie byłoby pójść z nim do łóżka.

Wolałaby nie dopuszczać tego do świadomości, ale coś się między nimi dzisiaj wydarzyło. Coś się zmieniło i nie wiedziała, jak to teraz odwrócić. Jak naprawić.

- Przepraszam. - Jake usiadł przy stoliku i dał znak kelnerce, żeby mu podała, jak zwykle, mineralną. - Im dłużej gram, tym bardziej agresywne stają się moje wielbiciele.

- Biedne maleństwo - zakpiła Lucy.

Marisa powstrzymując łzy podniosła się z krzesła.

- Idę do domu.

- Już? - W głosie Jake'a zabrzmiało rozczarowanie. - Nie możesz zostać?

- Jestem wykończona.

- Nie pogniewasz się, jeśli ja jeszcze zostanę? Czy chcesz, żebym cię odprowadziła do domu? - zapytała Lucy.

- Zostań i baw się dobrze. Jake wstał.

- Ja cię odprowadzę.

- Nie musisz.

- Nie lubię, jak sama wracasz po nocy do domu. Do zobaczenia, Lucy.

- Bawcie się dobrze. - Jej ton wskazywał, że doskonale wiedziała, o czym Jake myślał przez cały wieczór. Gdzie tam, cały dzień. Nie mógł się od tego uwolnić.

Wychodząc natknął się na producentkę, która wcześniej wręczyła mu wizytówkę. Była pogrążona w rozmowie z

właścicielem baru, ale kiedy ją mijał, posłała mu bezgłośnie: „Zadzwoń do mnie”.

Próbował tłumaczyć, że sam jest producentem swoich płyt, ale nie chciała słuchać żadnych wyjaśnień. Ciągle miał do czynienia z tak zwanymi producentami. Ćwiczył to już wcześniej i teraz nikomu już nie sprzedawał praw autorskich. To była jego muzyka. Nagrywał ją tak, jak sam chciał. Był muzykiem studyjnym, z tego żył, ale jego prawdziwą pasją było komponowanie.

Powietrze nadal było lepkie od wilgoci, ale nie czuło się już tego żaru co wcześniej.

Jake objął Marisę i ruszyli spacerem w kierunku jej mieszkania. Przemierzali tę drogę nieskończoną ilość razy, ale dzisiaj było inaczej. Nigdy dotąd tak intensywnie nie odczuwał jej obecności. Każdy najdrobniejszy detal działał na zmysły: muśnięcie jej włosów, zapach perfum, przypadkowe dotknięcie udem jej biodra.

Marisa nic nie zauważała. Szła obok niego zamyślona, pochłonięta własnymi sprawami.

- Co myślisz o mojej dzisiejszej grze? - Był ciekaw, czy zauważyła różnicę, wychwyciła coś wyjątkowego.

- Było dobrze - stwierdziła bez wielkiego entuzjazmu. - Podobał mi się ten nowy materiał.

Poczuł okropne rozczarowanie. W porządku, nie musiała tego czuć. Pewnie nawet na niego nie patrzyła, po prostu wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń i myślała o remanencie w sklepie albo o tym, że powinna umyć włosy. Niepotrzebnie się łudził.

Przyrzekł sobie, że dzisiejsze popołudnie nie popsuje ich przyjaźni, tymczasem już wszystko się psuło, ale nie mógł przestać myśleć o pomyśle Lucy. Rozważał go ze wszystkich stron, obracał w głowie, a dręcząca kwestia pozostawała.

Czy mógłby spłodzić dziecko i potem pójść sobie spokojnie swoją drogą?

Nie. Niekoniecznie. Przyjaźni się przecież z Marisą, będzie mógł utrzymywać kontakt z dzieckiem, a przy tym będzie na tyle daleko, żeby potomkowi nie wyrządzić krzywdy nie do naprawienia. Będzie miał rodzinę, ale na dystans.

Będzie zabierał dziecko do zoo, nauczy je grać w baseball. Mały nie będzie znał prawdy, dowie się wszystkiego, kiedy dorośnie. Chociaż może lepiej, żeby w ogóle nie wiedział, skąd się wziął na świecie, z jakiej pochodzi rodziny. Które dziecko chciałoby wiedzieć, że miało skłonnego do przemocy dziadka alkoholika i stryjka, który odsiaduje dożywocie w więzieniu. Obciążać dziecko taką wiedzą to nie w porządku.

Mógłby założyć dziecku fundusz na poczet studiów, a jeśli Marisa chciałaby gdzieś wyjść wieczorem, to on będzie zawsze gotów zostać z małym. Uczyłby dzieciaka muzyki. Ważne, żeby wcześniej zacząć. Gdyby ktoś poznał się od razu na talencie Jake'a, kto wie, kim byłby teraz. Dziecko Marisy musi mieć wszystko co najlepsze.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej mu się pomysł podobał. Tak, zdecydowanie chciałby mieć dziecko, dbać o nie, wychowywać je.

Próbował odgonić tę myśl, ignorować wewnętrzny głos, który mu szeptał, że to dobra decyzja, że winien był to Marisie za wszystko, co dla niego zrobiła. Była jego najlepszą przyjaciółką. Jedynym bliskim człowiekiem. Rodziną.

Głos nie dawał się uciszyć. Pozostawało pytanie, czy Marisa się zgodzi. Czy uzna, że nadaje się na ojca?

- Tak się zastanawiam - przerwała milczenie - czy nie poszedłbyś ze mną na ślub Josepha. Przydałoby mi się wsparcie moralne.

Rozumiał ją doskonale.

- Jasne, pójdę.

Kiedy doszli do domu, w którym mieszkała, wyciągnęła klucze z torebki.

- Dzięki, że mnie odprowadziłeś. Wejdiesz na chwilę?

Wsadził dłonie do kieszeni spodni. Był zdenerwowany. Nadarzała się szansa i powinien ją wykorzystać.

- Chętnie. Chciałem z tobą o czymś pogadać.

- W porządku. - Marisa zaczęła wchodzić po schodach prowadzących do mieszkania nad sklepem.

Kiedy stanęli przed mieszkaniem Marisy, uchyliły się sąsiednie drzwi i w szparze zabezpieczonej sześcioma łańcuchami pokazało się baczne oko.

- To my, panie Kloppman - zawołała. - Marisa i Jake.

- Trzeba uważać - szepnął pan Kloppman. - Zawsze trzeba uważać. Nigdy dość ostrożności. Oni przybierają różne kształty, mogą wyglądać jak ty albo Jake.

Jake parsknął śmiechem i Marisa dała mu sówkę w bok.

- Znowu oglądał pan Z archiwum X, panie Kloppman?

Pan Kloppman pokręcił głową.

- Nie. Oglądałem wiadomości. Dobrze zamknij drzwi. Nie jest bezpiecznie. Nikomu nie można ufać. - Oko zniknęło i drzwi się zatrzasnęły.

- Odjechany jegomość - mruknął Jake. - Któregoś dnia zupełnie mu odbije i gotów zrobić komuś krzywdę.

- Jest niegroźny. Poza tym jego córka regularnie opłaca czynsz. Kloppman jest bardziej niezawodny niż najlepszy system alarmowy. - Marisa zgarnęła stertę gazet z kanapy i opadła na poduszki. - O czym chciałeś porozmawiać?

Jake usiadł naprzeciwko niej w skórzanym fotelu.

- Chodzi o naszą rozmowę w czasie lunchu.

- Ja też o tym myślałam.

- Ja właściwie nie myślałem o niczym innym.

- To tak jak ja.

- Czy tylko ja mam takie wrażenie, czy w naszych relacjach rzeczywiście coś się zmieniło?

Nie chciała, żeby cokolwiek się zmieniło, ale nie mogła zaprzeczyć, że tak się jednak stało. Spuściła wzrok i pokiwała głową.

- A więc Lucy ma rację - powiedział Jake. - Powiniennem zostać ojcem twojego dziecka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Przepraszam?

- Myślałem o tym cały dzień i doszedłem do wniosku, że idealnie nadaję się na ojca twojego dziecka.

Marisa rozdziawiła usta i dopiero po chwili zdołała je zamknąć.

Kiedy Lucy wyskoczyła z pomysłem, wydał się jej absurdalny, niemożliwy do przeprowadzenia. A tu Jake, z poważną miną, mówi, że się zastanowił i doszedł do wniosku...

- Jesteś pewien?

- Pomyśl, dlaczego w pierwszej chwili odrzuciliśmy ten pomysł? Baliśmy się, że ucierpi nasza przyjaźń, że wszystko się zmieni. Już się zmieniło. Stało się.

Miał rację. Wszystko się zmieniło. Tymczasem jej stan się pogarszał i może był to ostatni dzwonek, żeby mieć dziecko.

- Chcesz wychowywać dziecko sama? Nie chcesz mieć męża, stałego partnera, tak?

- Zdecydowanie tak.

- Ja nie chcę mieć żony i dzieci. W ogóle nie biorę tego pod uwagę. Nie tak łatwo znaleźć faceta, który dobrowolnie zrzeknie się praw do dziecka. Mnie znasz i możesz mi ufać.

- Jeśli zawrzemy układ, wiem, że dotrzymasz słowa, ale pamiętaj, że mówimy o poczęciu nowego życia, o dziecku. Rozumiesz?

- Rozumiem. Będiesz wspaniałą matką, Mariso. Powinnaś mieć dziecko.

- Może nie wyraziłam się jasno. Tu chodzi o seks, Jake. Mamy pójść ze sobą do łóżka, ty i ja. Razem.

- Chcesz powiedzieć, że nie masz ochoty na seks ze mną? Nie podobam ci się?

- Nie, nie, to nie to. Jak mógłbyś mi się nie podobać. Kobiety szaleją za tobą.

- Jeśli chodzi o materiał genetyczny, to nie mam się czym chwalić...

- Geny masz w porządku. - Marisa nachyliła się i zamknęła jego dłonie w swoich. - Będę dumna, nosząc twoje dziecko. Boję się tylko, bardzo się boję, żeby to nie zniszczyło naszej przyjaźni.

- Jesteś moją najserdeczniejszą przyjaciółką. Nic tego nie zmieni.

Nigdy jeszcze nie widziała go takim poważnym, takim przejętym. Kiedy go słuchała, wszystko wydawało się proste. Pójdziemy ze sobą do łóżka, będziemy mieli dziecko.

Aż zbyt proste.

- Zdajesz sobie sprawę, że to może trwać nawet kilka miesięcy - powiedziała Marisa. - Nawet rok. Jeśli w ogóle się uda.

Jake pokiwał głową.

- Wiem. To mnie nie przeraża.

- Musimy ustalić zasady i trzymać się ich twardo. Inaczej się pogubimy.

- Tak, ustalimy zasady, to dobry pomysł.

- Obiecuj mi, że cokolwiek się stanie, nasza przyjaźń na tym nie ucierpi. Podołasz?

- Podołam. - Uścisnął jej dłonie. - Chcę to zrobić dla ciebie.

On podoła, ale czy ona też? Potrzebowała czasu, żeby oswoić się z nową sytuacją, ale wiedziała też, że w głębi serca podjęła już decyzję. Nie wahała się już.

- Dobrze - przytaknęła. - Zróbmy to.

Marisa odstawiła wino, wydobyła notes spod sterty gazet, w zagłębieniu między poduszkami kanapy znalazła czerwony pisak żelowy.

- Gotów?

Jake skinął głową.

- Mogę zacząć?

Marisa postawiła dużą czerwoną jedynkę. Dłonie przestały jej drżeć, ale nadal kłębiły się w niej rozmaite emocje: strach, podniecenie, zdenerwowanie, żeby wymienić tylko kilka.

- Musimy być wobec siebie cały czas absolutnie szczerzy, jeśli to ma się udać. Musimy mówić sobie nawet o sprawach niewygodnych.

- Zgoda. Zasada numer jeden, absolutna szczerłość. Zasada numer dwa, powinniśmy to robić tylko... ehm...

- Do czasu. - Ułożył dłonie w literę T. - Zanim posuniemy się dalej, musimy się zastanowić, co właściwie będziemy robić.

Marisa uniosła brew.

- Przepraszam, nie chodziłeś na lekcje wychowania seksualnego?

- Bardzo śmieszne. Po prostu musimy to jakoś nazwać: uprawianie seksu, kochanie się, robienie dziecka, jest mnóstwo określeń. Musimy zdecydować się na któreś i trzymać się go konsekwentnie.

Jake był wyraźnie rozluźniony, Marisa nadal spięta. Tak spokojnie, swobodnie o tym mówił. Zbyt swobodnie, zbyt spokojnie. Jakby podobne sytuacje były dla niego chlebem powszednim.

- Jak to nazwiemy? Potarł w zamyśleniu brodę.

- „Uprawianie seksu” brzmi zbyt zimno, zważywszy nasz cel. Jak już będziesz trzymała dziecko w ramionach, jego poczęcie powinno ci się dobrze kojarzyć.

Marisa poczuła ucisk w gardle, łzy napłynęły jej do oczu.

- Jak pięknie to powiedziałaś.

- Chcę, żeby to było miłe. Kocham cię i ty chyba też mnie kochasz.

Wyjęła chusteczkę z pudełka stojącego na stoliku.

- Wiesz, że tak.

- To będziemy mówić, że się ze sobą kochamy... jeśli takie określenie ci odpowiada. Nie jesteśmy, co prawda, zakochani w sobie, ale darzymy się miłością, prawda?

- Dobrze, będziemy mówić, że się ze sobą kochamy.

- Ustalone. Wracamy do zasady numer dwa.

- Myślę, że powinniśmy się kochać tylko w czasie owulacji. Rozumiesz, skoro to jest nasz cel...

Jake zawahał się i Marisa była niemal pewna, że dojrzała na jego twarzy rozczarowanie. W końcu skinął głową.

- Tak, to rozsądny pomysł.

- Zasada trzecia. Musimy ustalić, gdzie się będziemy kochali. Zasada czwarta, zaraz potem się rozstajemy. Nie będziemy spać razem. To mogłoby skomplikować sprawy.

- Ponieważ będziemy się kochali w nocy, proponuję, żebyśmy robili to u ciebie. Nie chcę, żebyś potem sama wracała do domu.

- Zgoda. Nie zastanawiałam się nad tym, ale to dobra propozycja. - Marisa zapisała zasadę czwartą. Następna mogła nastroczać problemy.

- Piąta. Musisz liczyć się z tym, że nasze próby mogą trwać nawet rok. W tym czasie żadne z nas nie będziesz sypiało z nikim innym. Nie chodzi o to, żebym ci nie ufała, ale jest tyle paskudnych choróbsk. Nie chcę ryzykować. Nie będziemy przecież stosować żadnych zabezpieczeń.

- Ale mogę się spotykać z innymi kobietami? Marisa poczuła niemiłe ukłucie zazdrości. Spodziewała

się tego pytania, szczególnie po dzisiejszym incydencie w barze, i nie powinna mieć o nie żalu do Jake'a.

- Jasne, dlaczego nie? Pod warunkiem, że nie będziesz z nimi sypiała.

Jake skwapliwie skinął głową, nawet się nie zastanawiał.

- Nie ma sprawy.

- Jesteś pewien?

Sceptycyzm Marisy wyraźnie go uraził.

- Oczywiście, że jestem pewien. Wszyscy uważają mnie za jakiegoś supersamca, a prawdę powiedziawszy bardzo rzadko idę z kimś do łóżka, a kiedy już idę, zawsze używam prezerwatyw, tu jestem absolutnie konsekwentny.

- Wierzę.

- Następną zasadą. Nikt o niczym nie będzie wiedział.

Teraz Marisie zrobiło się przykro. Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że sypiają ze sobą. Właściwie nie powinna się dziwić. W końcu musiał dbać o swoją reputację supersamca. Ale postawiony przez Jake'a warunek trochę zabolął.

- Jeśli uważasz, że tak będzie lepiej...

- Nikomu ani słowa. Dziecko dowie się, jak będzie starsze, ale o tym sama zdecydujesz. Wiesz, w moim środowisku plotki szybko się rozchodzą.

Marisa poczuła się głupio, policzki piekły ją ze wstydu. Jake myślał o dobru dziecka, a ona od razu przyjęła jego zastrzeżenie jak osobistą obrazę.

- Będziemy musieli się zastanowić, jak to rozegrać, kiedy mała czy mały zaczną się dopytywać o tatusia.

- Nad tym będziemy mieli czas się zastanawiać, jak już zajdziesz w ciążę.

- Jasne. Zasada numer siedem. - Sięgnęła po kieliszek i upiła solidny łyk wina. Nie powiedziała jeszcze słowa, a już była czerwona jak piwonia. Jezu, nie płoniła się tak od czasu, kiedy skończyła dwanaście lat.

- Ehm...

- Absolutna szczerość - przypomniał jej Jake.

- Chodzi o to, żebyś... sam się nie zaspokajał... uff... przez dwa tygodnie przed jajeczkowaniem. Im więcej spermy, tym większa szansa, że zajdę w ciążę.

Jake skrzywił się.

- Dwa tygodnie, powiadasz?
- Tak radzą w książkach. Wybacz.
- W porządku. Jakoś przeżyję. - Uśmiechnął się ubawiony. - Do ciebie ta zasada się nie odnosi.
- Ehm... Nie wiem... Jake parsknął śmiechem.
- Marisa, żartowałem. Jeśli będziesz miała ochotę sprawić sobie przyjemność, to nie zastanawiaj się. Może przynajmniej pozwolisz mi popatrzeć, w ramach zadośćuczynienia za dwutygodniowy celibat.

Szeroko otworzyła usta, ale nie wydobyła się z nich żadna odpowiedź. Jake musiał żartować. Nie oczekiwał chyba, że ona...

Boże, a jeśli? Może miał taki zwyczaj?

- Marisa, odpręż się. Żartowałem.
- Przepraszam. To dlatego, że jestem zdenerwowana.
- Niepotrzebnie się denerwujesz. Jesteśmy przyjaciółmi. Właściwie seks to jedyna rzecz, której nie robiliśmy jeszcze razem. Przecież nie denerwujesz się, kiedy urządzamy sobie piknik w parku albo idziemy do kina?
- Pewnie, że nie.
- W takim razie potraktuj to jako jeszcze jedną rzecz, która łączy przyjaciół.

Przyjaźń i seks?

Kolejny problem. A jeśli Jake nie będzie miał żadnej przyjemności? Albo odrzuci go na widok jej ciała?

Jake usiadł obok niej, objął ją i Marisa zeszywniała, a potem poczuła mrowienie w całym ciele. Tak długo się znali, tyle razy ją obejmował, a ona nigdy nie sztywniała ani nie czuła żadnego mrowienia.

Nie, nie powinna wyolbrzymiać i demonizować całej sprawy. Odpręż się, powiedziała sobie i oparła głowę na jego ramieniu. Było to bardzo miłe.

Naprawdę bardzo miłe.

- To wszystko? - Jake wyjął jej z ręki notatnik,
- Chyba wszystko. Jeżeli sobie coś przypomnimy, zawsze możemy uzupełnić listę.

- Mamy siedem zasad. To szczęśliwa liczba.

Tak, może im się poszczęści i Marisa zajdzie w ciążę od razu w pierwszym miesiącu.

- Jake, jestem ci bardzo wdzięczna.

- Wiem. - Uścisnął ją, - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Ja też.

- Ale mam jeszcze jedno pytanie.

- Tak?

Uśmiechnął się tak, że każdej kobiecie od tego uśmiechu zakręciłoby się w głowie.

- Kiedy zaczynamy?

Jake siedział przy konsoli w studio nagraniowym, ale myślami był zupełnie gdzie indziej.

Znów marzył o Marisie. Dokładnie mówiąc, marzył o tym, że kocha się z Marisą. Od kiedy zaczęła każdego popołudnia sprawdzać, czy zaczęła się już owulacja, nie myślał o niczym innym.

Wyobrażał ją sobie w najróżniejszych miejscach: na kanapie, na blacie kuchennym, na zapleczu w klubie, nawet rozciągniętą na konsoli w studio, przystrojoną wyłącznie w uśmiech, nic ponadto. Ta ostatnia fantazja należała do jego ulubionych i prowadziła do bólu w lędźwiach, mówiąc eufemistycznie.

Takie fantazje zdarzały mu się, kiedy dopiero odkrywał seks.

W międzyczasie dorósł i czasami na całe miesiące zapominał, że istnieje coś takiego jak seks, a teraz zachowywał się jak człowiek owładnięty obsesją.

Nigdy nie przypuszczał, że czekanie może być takie męczące, ale gotów był znieść wszystko, byle ofiarować Marisie to, czego tak pragnęła.

I kochać się z nią.

Minęły dwa tygodnie. Marisa ciągle czekała na owulację, co oznaczało, że on też musiał czekać. Kiedy nie widziała, wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Tak się zapominał, że kiedy wracał do rzeczywistości, często widział jej zdziwione spojrzenie.

W ostatnich dniach zaczęła nosić jeszcze luźniejsze, jeszcze bardziej sute stroje, spod których już zupełnie nie było widać figury, całkiem, z tego, co mógł się domyślać, atrakcyjnej. Albo wstydziła się swojego ciała, albo chciała doprowadzić go do obłędu.

A może jedno i drugie. Tak czy inaczej czuł, że długo nie wytrzyma.

- Ej, Jake?

Tank, inżynier dźwięku, coś mówił do niego.

- Przepraszam, możesz powtórzyć? Tank wskazał głową w stronę kabiny.

- Aaron przyszedł.

Jake westchnął ciężko. Aaron, perkusista zespołu, który już wkrótce miał stać się byłym perkusistą, wreszcie raczył się pokazać. Wyglądał okropnie, co ostatnio było w jego przypadku normą. Pomięte, brudne ubranie, jakby od tygodnia go nie zdejmował. Bo też najpewniej nie zdejmował ani też nie był pod prysznicem.

Jake wyszedł z reżyserki i w nozdrza uderzył go smród niemytego ciała i alkoholu.

- Miło cię widzieć, Aaron.

- Ty draniu...

Jake zdążył się uchylić. Pałeczka perkusyjna przeleciała mu nad głową i uderzyła w okno. W ślad za nią poleciała następna, tym razem Jake uchylił się w przeciwną stronę.

Mało brakowało, a do dwutygodniowego celibatu doszłoby wstrząśnienie mózgu.

- Rozumiem, że dostałeś wiadomość?

- Gdzie mój sprzęt? I dlaczego bierzesz nowego perkusistę?

- Twój sprzęt czeka spakowany w biurze. Wspólnie zdecydowaliśmy, że dokończymy płytę z nowym perkusistą.

- Nie możesz mnie wywalić. Jestem najlepszy w tym mieście.

- Aaron, nie neguję twoich umiejętności. Pół roku temu byłeś najlepszy. Ciągle możesz być, po prostu potrzebny ci detoks.

- Potrzebna mi odrobina lojalności ze strony ludzi, którzy podobno są moimi przyjaciółmi.

- Ty mówisz o lojalności? Od sześciu miesięcy męczymy się z tobą. Częściej cię nie ma, niż jesteś, a kiedy już przychodzisz, grasz fatalnie. Kilka razy próbowałem ci pomóc, ale ty nie chcesz pomocy. Ostrzegłem cię, że jak nie przestaniesz, wylecisz. Nie dałeś mi szansy.

Do kabiny nagraniowej wślizgnął się Louis, gotów pacyfikować Aarona, gdyby ten zaczął szaleć. Alkoholikowi nie sposób przemówić do rozumu. Jake znał to z własnego doświadczenia. Ile to razy musiał się bronić przed Tommym, własnym braciszkiem, kiedy ten wpadał w pijacką agresję.

- Co mam teraz ze sobą zrobić? - wybełkotał Aaron.

- Idź na terapię - poradził Jake.

- Tłumaczyłem ci, że nie jestem alkoholikiem. - Aaron zrobił krok w jego kierunku, ale Jake nie drgnął nawet.

- Nie pogarszaj sytuacji. Zabierz swój sprzęt i znikaj. Jak będziesz suchy, zadzwoń do mnie.

- To jeszcze nie koniec - zagroził Aaron i wytoczył się na korytarz.

- Tego jestem pewien - mruknął Jake.

Miał wyrzuty sumienia, ciągle nie mógł uwolnić się od myśli, że powinien bardziej zdecydowanie pomóc przyjacielowi w walce z nałogiem. Tak samo winny czuł się po aresztowaniu Tommy'ego.

Próbował odebrać mu kluczyki, tłumaczył, że w takim stanie nie powinien siadać za kierownicą, ale Tommy nie słuchał.

- Nie wiem, może w końcu przestanie chlać, pójdzie jednak na terapię - zwrócił się do Louisa.

- Głupio, że go wywaliliśmy - mruknął Louis, przechodząc z nim do reżyserki.

- Nie możemy sobie pozwolić na zawalanie terminów. Dopóki sam sobie nie będzie chciał pomóc, nikt mu nie pomoże.

- Nie miałeś wyboru - poparł go Tank. - Aaron popłynął.

- Wiem, ale paskudnie się czuję. - Jake opadł na krzesło.

W drzwiach pojawiła się głowa jednej z dziewcząt pracujących w biurze.

- Telefon do ciebie, Jake.

- Kto dzwoni?

- Jakaś kobieta.

Jake zamknął oczy, odchylił głowę.

- Jestem teraz zajęty. Poproś, żeby zostawiła wiadomość.

- Chciałam, ale ona mówi, że to ważne. Odbierz na dwójce.

Jake zaklął pod nosem i chwycił słuchawkę.

- Jake?

- Marisa? - Jej głos brzmiał dziwnie, jakby odbijał się echem.

- Mamy dwie kreski.

- Dwie kreski? O czym ty mówisz? Skąd dzwonisz?
- Jestem w łazience i mam dwie kreski.
- Jakie kreski? Zaczęła się śmiać.
- Na teście. Jedna cienka i jedna piękna, gruba, fioletowa.

Kreski? Test? Serce zabiło mu mocniej.

- To znaczy...
- Że mam owulację.
- Teraz?
- Tak. Jak szybko możesz przyjechać?

Zerknął na Louisa i Tanka. Zapowiadał się wczesny lunch.

- Daj mi piętnaście sekund.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Marisa oparła się o zlew w kuchni i raz jeszcze dokładnie obejrzała pałeczkę testową. Wynik był niewątpliwie pozytywny, chociaż kreski zaczynały już znikać.

Czekała na ten wynik niecierpliwie, cieszyła się, ale była śmiertelnie przerażona.

Miała uprawiać seks, nie, nie, miała się kochać z Jakiem.

Wyrzuciła pałeczkę do kosza i otworzyła szufladę w szafce obok piekarnika. Na schodach zadudniły kroki. Poczowała suchość w gardle. Klamka się poruszyła...

Do mieszkania wpadł Jake, zziębnięty, spocony: biegiem pokonał dystans dzielący studio od domu Marisy. Zamknął drzwi i oparł się o nie ciężko.

- Jestem wykończony...

Marisa stała w kuchni, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w dłoni ścisnęła metalową pipetę do polewania indyka.

- Mogę zapytać, po co ci to? Uprzedzam, żadnych sado - macho ani innych urozmaiceń. Ja na to nie idę.

- Nie wiem, po co to wyjęłam. Chyba bezmyślnie. - Wrzuciła pipetę z powrotem do szuflady. - Biegłeś całą drogę?

- Ciężarówka dostawcza zablokowała mojego dżipa. Pomyślałem, że szybciej dotrę tu pieszo. Spóźniłem się?

- Dlaczego miałeś się spóźnić?

- Pytam, czy się spóźniłem na owulację? - uściślił.

- Powinnam była ci wyjaśnić, że owulacja trwa mniej więcej dobę, czasami dłużej.

- Szkoda, że nie wiedziałem. - Marisa mogła nie zdawać sobie z tego sprawy, ale on nie zamierzał wyjść z jej mieszkania, nie dopełniwszy umowy. Przynajmniej dwu - , a nawet trzykrotnie.

Po siedemnastu latach wreszcie zaspokoi swoją ciekawość, przestanie zgadywać, domyślać się.

- Przepraszam, że czekałeś tak długo, i dziękuję za cierpliwość. - Marisa nerwowo nawijała pasemko włosów na palec.

- Moja cierpliwość już się wyczerpała. - Jake wyprostował się i zrobił krok w jej kierunku, ona zrobiła krok do tyłu. Kolejny krok i Marisa znowu się cofnęła.

- Mariso, coś nie tak? Wsunęła dłonie pod ramiona.

- Chodźmy do sypialni. Jake wzruszył ramionami.

- Łóżko, kanapa, podłoga. Gdzie tylko chcesz. Nie będę kaprysił.

Nie spuszczać z niego wzroku, zaczęła cofać się do sypialni. Nigdy mu się nie podobała ta sypialnia, pastelowa, w falbankach, zbyt kobieca jak na jego gust, ale dzisiaj spojrzał na nią inaczej, wystrój wydawał się jak najbardziej stosowny. Rolety były zaciągnięte i w pokoju panował półmrok, a w powietrzu unosił się delikatny zapach perfum, tworzący erotyczny nastrój.

- Nie lubię seksu. - Stwierdzenie padło tak nieoczekiwanie, że Jake był pewny, że się przesłyszał.

- Przepraszam?

Marisa stała koło łóżka, sztywna, wyprostowana, niczym przed plutonem egzekucyjnym.

- Powiedziałam, że nie lubię seksu. Powinieneś o tym wiedzieć, zanim...

- Jak można nie lubić seksu? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Po prostu nie lubię. Początkowo wydawało mi się, że to musi być wspaniałe doświadczenie, ale kiedy spróbowałam pierwszy raz, było paskudnie.

Jake zmarszczył czoło.

- Paskudnie?

- Tak. Ból, wstyd, zakłopotanie... nie potrafiłam dopatrzeć się w tym niczego wspaniałego.

- Rozumiem - powiedział Jake, chociaż nic nie rozumiał. Czy chciała mu powiedzieć, że od dawna nie uprawiała seksu i w związku z tym ma zahamowania? Przecież niemożliwe, żeby nie lubiła seksu. Wszyscy lubią seks. - Może faceci, z którymi byłaś...

- Facet. Był tylko jeden. Po miesiącu, kiedy nic się nie zmieniało, doszłam do wniosku, że to nie dla mnie. Ale wcale mi to nie przeszkadza - dodała pośpiesznie. - Nie mam wrażenia, żebym coś traciła.

- Chwileczkę. Kiedy to było? Z kim i kiedy uprawiałaś przez miesiąc ten nieudany seks?

- Z Kenem Sobieskim, na pierwszym roku studiów.

- Od sześciu lat z nikim nie poszłaś do łóżka? - Jake osłupiał. Wiedział, że Marisa rzadko umawia się na randki, właściwie nie pamiętał, kiedy ostatnio była na jakiejś, ale żeby sześć lat? To już niezdrowe.

Położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

- Jestem gotowa. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zostanę w ubraniu?

Po chwili otworzyła jedno oko i zobaczyła, że Jake nadal stoi przy drzwiach. Wcale nie wyglądał tak strasznie, jak przed chwilą. Kiedy wpadł jak burza do jej mieszkania, spocony, zdyszany, wystraszył ją śmiertelnie. Zdawała sobie sprawę, że jest gotowy na autentyczny seks, prawdziwy seks, o jakim czytała w książkach, o jakim czasami myślała, ale nigdy nie odważyła się spróbować.

- Czas biegnie. - Zamknęła znowu oczy i starała się oddychać równomiernie.

Zapadła cisza, a potem Jake powiedział:

- Zapomniałaś chyba o czymś.

Otworzyła oczy i omal nie wyskoczyła ze skóry. Stał nad nią i uśmiechał się od ucha do ucha.

- O czym? - Musiała użyć całej siły woli, żeby głos jej nie zawiódł.

- Nie będziemy uprawiać seksu.

- Nie?

- Będziemy się kochać. I oboje się rozbierzemy. A ja zrobię wszystko, żebyśmy oboje mieli z tego przyjemność.

Marisie serce waliło jak oszalałe.

- Doceniam twoje dobre chęci, Jake, ale to naprawdę niepotrzebne.

- Owszem, potrzebne. - Jake zaczął rozpinąć koszulę. Miała ochotę odwrócić wzrok, ale nie, przyglądała się ukazującej się spod koszuli opalonej piersi. - Wstań. Pokażę ci, jak będziemy to robić.

Ma wstać? Słuchać Jake'a? Co on zamierza? Planuje coś niezwykłego?

Usiadła na łóżku. Czego właściwie się boi? Przecież to Jake, jej najlepszy przyjaciel. Człowiek, któremu bezgranicznie ufała.

- Nie chcesz robić tego tutaj?

- Tak, ale najpierw muszę wziąć prysznic. - Odpiął ostatni guzik, ale nie zdjął koszuli.

- Ja się wykupię, a ty idź do kuchni i nalej sobie kieliszek wina, włącz muzykę i spróbuj się odprężyć.

Spodziewała się czegoś zupełnie innego. Myślała, że uporają się z tym raz - dwa. Dlaczego Jake zwleka, robi przygotowania?

Bo chciał jej sprawić przyjemność. Tyle że niektórzy ludzie nie odczuwają przyjemności. Była jednym z tych ludzi.

Ruszyła za nim do łazienki.

- Zrobiłam coś nie tak?

Zatrzymał się w drzwiach, odwrócił. Dlaczego tak ją nagle zafascynowała jego naga pierś? Przecież nieraz widziała go

bez koszuli. I dlaczego akurat dzisiaj wydawał się jej taki wysoki? Zawsze taki był?

A oczy? Zawsze miał takie niesamowicie niebieskie oczy? I dlaczego wpatrywał się w nią tak, jakby chciał zajrzeć jej do duszy?

- Nie zrobiłaś nic złego - powiedział. - Po prostu nie przypuszczałem, że będziesz się tak denerwować.

Gdyby nie to, że gonią nas terminy, zwolniłbym tempo. Czuję się tak, jakbym robił coś wbrew twojej woli.

Nie, nie chciała, żeby tak to odczuwał. Chciała się z nim kochać. Chyba nigdy w życiu niczego nie pragnęła tak bardzo, jak teraz pójść do łóżka z Jakiem. Pragnęła i bała się.

- Nie, Jake, ty nie...

- Wiem, że nie, ale nie powinniśmy się spieszyć. Mamy iść razem do łóżka, a ja nawet cię nie pocałowałem. Coś tu jest nie tak.

Miał, oczywiście, rację. Gdyby zwolnili tempo, z pewnością czułaby się lepiej.

- Rzeczywiście - przytaknęła. Podszedł do niej.

- Mogę pocałować cię teraz?

Śmieszne, ale w swoich przewidywaniach w ogóle nie brała pod uwagę, że będą się całować.

- Tak - szepnęła zdławionym głosem. - Pocałuj mnie. Położył dłoń na jej policzku. Miał długie, piękne palce. Palce muzyka, pomyślała. Chciała, żeby ją pieścił. Chciała poczuć te palce na swoim ciele. Jake opuścił raptownie rękę, cofnął się.

- Przepraszam.

Teraz ona zrobiła krok w jego kierunku.

- Nie musisz...

- Muszę. - Wycofał się szybko do łazienki.

- Daj mi pięć minut.

- Ale...

- Pięć minut - powtórzył i zamknął drzwi.

Jake ściągnął przeupocone ubranie i wszedł pod zimny prysznic. Kiedy dotknął jej policzka, zobaczył gorący błysk w jej oczach, mało brakowało, a przestałby panować nad sobą.

Jęknął i oparł czoło o chłodne kafelki. Nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu tak bardzo pragnął kobiety. Pomyśleć, że sama perspektywa pocałunku zupełnie wytrąciła go z równowagi. Może dlatego, że tak długo czekał, że tyle sobie obiecywał. Może odgrywał tu rolę szacunek, jaki miał dla Marisy, i łącząca ich wieloletnia przyjaźń. A może chodziło o to, że oto miał posmakować zakazanego owocu.

Nie, nie, nie powinien myśleć o tym teraz.

Skończył się myć, wyszedł spod prysznic, wytarł się szybko, włożył spodnie i poszedł do kuchni.

Butelka wina stała na blacie nienaruszona, wieża była wyłączona, a Marisa zniknęła.

- Jestem w sypialni - usłyszał jej głos.

Jake stanął w drzwiach sypialni. W nisko opuszczonych na biodra spodniach, z wilgotną jeszcze pierśią. Włosy miał zmierzwił: najwidoczniej wytarł je tylko ręcznikiem, ale już szkoda mu było czasu, żeby sięgnąć po grzebień. Z potarganymi włosami wyglądał bardzo seksownie.

Kiedy zobaczył, że leży przykryta aż po samą brodę, zaklął cicho i wciągnął głęboko powietrze.

- Położyłaś się - stwierdził odkrywczco.

- I jestem naga. - Wskazała głową krzesło, na którym leżało jej ubranie.

- Zupełnie naga? - upewnił się.

- Sam się przekonaj. Strach już minął.

Ten człowiek, jej najlepszy, najserdeczniejszy przyjaciel, od kilku tygodni żył w celibacie, na jej prośbę. Zrobił to dla niej. Należała mu się satysfakcja. Przynajmniej tyle mogła mu ofiarować, w każdym razie chciała ofiarować. Może i dla niej pójście do łóżka z Jakiem nie będzie taką katorgą, jak

wydawało się w pierwszej chwili. Jeśli nie odczuje żadnej przyjemności, trudno. Będzie szczęśliwa, jeśli dla niego będzie to przyjemność.

Podszedł do łóżka, rozpinając spodnie.

- Na pewno jesteś gotowa? Może powinniśmy zacząć w bawialni i dopiero potem przyjść tutaj? Nie musimy się spieszyć aż tak bardzo.

- Nie wiem, jak ty, ale ja uważam, że wystarczająco długo czekaliśmy. Rozbierz się.

- Ty jesteś tutaj szefem. - Spodnie opadły na podłogę i...

Ken Sobieski był przy Jake'u niczym. Jake miał smukłe, muskularne ciało. Piękne. Tak, Jake był piękny. Zdumiało ją, że tak naturalnie traktuje swoją nagość, że tak dobrze się czuje we własnej skórze. Nie mogła się na niego napatrzeć.

Czekała, aż on zrobi pierwszy ruch: pocałuje ją, dotknie jej. Zrobi cokolwiek. On tymczasem tylko się uśmiechał.

- O co chodzi? - zapytała.

- Wyglądasz ślicznie, zakryta po sam czubek nosa, ale... - pociągnął lekko kołdrę - może jednak byś się pokazała.

Trudno.

Zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i Jake pociągnął kołdrę na tyle, że odsłonił ramiona Marisy. Poczowała chłodny powiew na skórze.

- Oddychaj, Mariso. Zrobiłaś się sina. Wypuściła gwałtownie powietrze z płuc.

- Przepraszam, jestem trochę spięta. Niewiele osób widziało mnie nagą.

Jake pociągnął kołdrę jeszcze trochę, odsłaniając piersi.

- Dlaczego?

- Moje ciało jest takie...

Przesunął palcem po wzniesieniu jej piersi i Marisa straciła zupełnie wątek.

- Powiedzmy, że mam swoje powody. Ujął jej dłoń i położył sobie na sercu.

- Czy myślisz, że waliłoby tak, gdyby twoje ciało mi się nie podobało?

Prawdę powiedziawszy, to Jake miał serce w gardle, podobnie jak Marisa. Jego skóra była ciepła i gładka w dotyku, mięśnie wyrobione. Nie mogła uwierzyć, że leży obok niej i że jej dotyka.

- Mariso, mogę cię pocałować?

Bała się, że głos ją zawiedzie, więc zamknęła oczy i zapraszająco wysunęła brodę.

Pocałunek okazał się czymś najnaturalniejszym w świecie, jakby nic innego nie robili, tylko całowali się przez całe życie.

Kiedy Jake się odsunął, otworzyła oczy. Powieki jej ciążyły, a w całym ciele czuła dziwną miękkość.

- To było miłe - powiedział z uśmiechem.

- Tak, to było miłe.

- Gotowa na dalszy ciąg?

Była gotowa. Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie. Tym razem pocałunek był głębszy, gorętszy, a kiedy Jake ujął jej twarz w dłonie, kiedy zanurzył palce w jej włosach, Marisa miała wrażenie, że jej ciało zaczyna płonąć. Przy Kenie Sobieskim nigdy nie czuła nic podobnego. Ken był niezdarny, konstrukcję psychiczną miał prostą, nie myślał o jej reakcjach.

Nie wyobrażała sobie, że można czuć coś takiego, co odczuwała teraz.

Jej ciało odpowiadało spontanicznie, bez udziału woli i myśli. Zaczęło żyć własnym życiem.

- Dobrze ci? - szepnął.

Czy dobrze? Nie potrafiłaby znaleźć odpowiednich słów na opisanie tego, co czuła. Angielski nie miał właściwych

określeń na opisanie jej odczuć. A pragnęła następnych, intensywniejszych: jeszcze, więcej...

Pragnęła go pieścić i być pieszczona. Pragnęła tak bardzo, że sprawiało to ból.

Jake podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Może wydam ci się zarozumialcem, ale z całą pewnością nie reagujesz jak kobieta, która nie lubi seksu.

- Może udaję - szepnęła ledwie słyszalnie.

- W takim razie muszę się bardziej postarać - powiedział Jake z szelmowskim uśmiechem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jake ukrył twarz na ramieniu Marisy.

- Nie bolało cię?

- Było wspaniale. - Przesunęła powoli palcem po jego brodzie. - Myślisz, że się udało? Że zajdę w ciążę?

- Nie wiem. - Niemal zapomniał, z jakiego powodu znaleźli się razem w łóżku. I oto nagle przebudzenie. To nie działo się naprawdę. Żadnych sentymentów, uczuć. Marisie po prostu potrzebny był cenny materiał genetyczny.

Poczuł chłód, pustkę. Miał nadzieję, że tym razem się nie udało, że ich próby będą trwać miesiącami... i ogarnęły go wyrzuty sumienia, że jest takim egoistą.

Tu nie chodziło przecież o niego. Chodziło o Marisę, o dziecko i o tym tylko powinien myśleć. Pragnął tego dla niej, dla siebie w jakimś sensie też.

Ale nigdy w życiu wyobrażenia nie rozminęły mu się tak bardzo z rzeczywistością. W seksie zawsze szukał zaspokojenia, rzadko angażował się emocjonalnie, a miłość w ogóle nie wchodziła w grę. Tymczasem dzisiaj pojawiła się i miłość, i szacunek.

Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś takiego jak właśnie dzisiaj, kiedy kochał się z Marisą. Coś takiego mogło mu się już nigdy nie zdarzyć.

Miał nadzieję, że za kilka miesięcy wszystko wróci do normy. Nacieszy się Marisą, ona zajdzie w ciążę, znowu będą przyjaciółmi, jak dawniej, a on wróci do swoich przelotnych związków z innymi kobietami, związków, z których świadomie eliminował uczucie.

A jeśli tych kilka miesięcy z Marisą mu nie wystarczy? Jeśli będzie za nią tęsknił?

Marisą spojrzała na budzik.

- Do diabła! Obiecałam Lucy, że będzie mogła wyjść dzisiaj wcześniej. Muszę iść na dół.

Wolał się nie zastanawiać, czy to prawda, czy tylko wymówka. Nie powinien ulegać sentymentom, dać się ponieść uczuciom.

- Powiedziałem chłopakom, że wrócę późno z lunchu, ale pewnie już na mnie czekają.

Sięgnął po leżące na podłodze spodnie. Lepiej udawać, że nic się nie stało, że tylko realizują swoją umowę i po prostu wskoczyli na chwilę do łóżka. Nic wielkiego.

- Chcesz, żebyśmy się spotkali wieczorem? - zapytał, siadając na łóżku, plecami do Marisy. - Może powinniśmy spróbować jeszcze raz, dla pewności. Owulacja jeszcze się nie skończy, prawda?

- Nie, ale mamy dzisiaj wieczorem robić z Lucy remanent. Nie mogę go przełożyć, już jesteśmy spóźnione, a lada dzień przyjdą nowe dostawy. Może spotkamy się jutro w porze lunchu?

Innymi słowy miała go dosyć na dzisiaj. Trudno. Oboje muszą się oswoić z sytuacją.

- W porządku, spotkamy się jutro.

Głośne pukanie do drzwi sprawiło, że poczuli się jak para nastolatków przyłapanych przez rodziców w kompromitującej sytuacji. Wskoczyli z łóżka i zaczęli się ubierać.

- Kto to? - szepnął Jake, chociaż pukający i tak nie mógłby go usłyszeć.

- Nie wiem. Może Lucy przyszła po mnie. - Marisa wciągnęła sukienkę. - Co powiemy?

Pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe.

- Nic nie musimy mówić. Po prostu otwórz i zachowuj się normalnie. - Jake włożył spodnie: koszulę i bokserki zostawił w łazience. - Ja się ubiorę i ogarnę.

Marisa pobiegła do drzwi, przeczesując po drodze palcami włosy. Pukanie stawało się coraz głośniejsze, coraz bardziej

natrętne. Kiedy otworzyła drzwi, do mieszkania wpadła Julia, narzeczona ojca Marisy.

- Jakiś szaleniec na mnie napadł - jęknęła, chowając się za plecami Marisy. Marisa wyjrzała na korytarz i zdążyła jeszcze zobaczyć zatraskujące się drzwi mieszkania pana Kloppmana.

- Nie przejmuj się, on jest nieszkodliwy. - Zamknęła drzwi i Julia dopiero teraz odetchnęła z ulgą. - Zdziwaczały staruszek, ale nie skrzywdziłby muchy.

- Dzięki Bogu. - Stała na środku bawialni, okropnie wystraszona, i przyciskała torebkę do piersi. W obcisłych dżinsach i prostej jedwabnej bluzce wyglądała jeszcze młodziej niż przy pierwszym spotkaniu, w sklepie. - Krzyczał, że jestem kosmitką.

- Ogląda zbyt często Z archiwum X. - Marisa teraz dopiero uświadomiła sobie, że nie założyła stanika, i skrzyżowała ręce na piersi. - Co cię sprowadza?

- Chciałam ci to wręczyć osobiście. - Julia podała jej kopertę. - Zaproszenie. Naprawdę bardzo nam zależy, żebyś była na ślubie.

Marisa przyjęła kopertę.

- Niepotrzebnie się fatygowałaś. Mogłaś to wysłać pocztą. Julia zachmurzyła się, zrobiła krok w stronę drzwi.

- Przepraszam, widzę, że przyszedłam nie w porę.

- Skądże. Właśnie się przygotowywałam, żeby zejść do sklepu. Chciałam tylko powiedzieć, że niepotrzebnie marnowałam czas. Na pewno masz mnóstwo spraw do załatwienia przed ślubem.

- Zaszłam do sklepu, ale Lucy powiedziała, że jesteś na górze. Poradziła mi, żebym zapukała do ciebie. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam.

Marisa usłyszała szum spuszczonej wody i w chwilę później pojawił się Jake: w wymiętej koszuli, ze zmierzwionymi włosami.

Julia rzeczywiście nie mogła pojawić się w gorszym momencie.

- Jake, pamiętasz Julię? - zagadnęła Marisa. Julia spojrzała na Jake'a, na Marisę i wiele wysiłku kosztowało ją, żeby powściągnąć domyślny uśmiech.

- Miło cię widzieć, Jake.

Uśmiechnął się bez wielkiego przekonania.

- Muszę wracać do studia. Pogadamy jutro, Mariso. Otworzyła mu drzwi.

- Do zobaczenia! - zawołała za nim. Jake zbiegł po schodach, nie oglądając się. Westchnęła i zajęła się na powrót Julią.

- Przepraszam cię, ale jeśli nic już do mnie nie masz, powinnam zejść do sklepu.

- Chciałam tylko wręczyć ci zaproszenie i upewnić się, że przyjdiesz na ślub.

- Powiedziałam już, że przyjdę.

- Chciałam się upewnić - powtórzyła Julia. - Mam wrażenie, że nie jesteś z ojcem w najlepszych stosunkach.

Bystra młoda osóbką.

- Obiecuję przyjść.

- Nie zatrzymuję cię. - Wyszła i odwróciła się w korytarzu. - Przypudruj trochę twarz, bo masz czerwone policzki, i włóż suknię na prawą stronę.

Ładnie.

Marisa otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy.

- Nie przejmuj się. Potrafię dotrzymać sekretu - powiedziała Julia i uśmiechnęła się tak szczerze, że Marisa nie miała powodu jej nie wierzyć.

Jednocześnie zastanawiała się, w co właściwie wpakowali się z Jakiem.

Po raz setny spojrzała na zegarek i niechętnym wzrokiem omiotła klientki kręcące się po sklepie. Cieszyła się, że po kilku tygodniach zastoju coś wreszcie drgnęło, ale jeśli nadal będzie panował taki ruch, nic nie wyjdzie ze spotkania z Jakiem w przerwie na lunch. Obiecała, że zadzwoni do niego, jeśli tylko będzie miała czas, tymczasem było już wpół do dwunastej, a jej ani na moment nie udało się wyrwać ze sklepu. Owulacja lada moment się skończy i ich spotkanie przestanie być potrzebne.

- Sześćdziesiąt osiem dolarów, czterdzieści centów - zwróciła się do klientki i szybko zainkasowała pieniądze.

Za nic nie przyznałaby się do tego Jake'owi, ale nie wyobrażała sobie, że teraz będzie musiała czekać cały miesiąc, aż znowu pójdą do łóżka. A może w ogóle nie będą musieli się kochać, jeśli ten pierwszy raz miałby zakończyć się powodzeniem. Kiedy była nastolatką, seks wydawał się jej czymś obrzydliwym. Doświadczenia z okresu studiów tylko utwierdziły ją w jej przekonaniu.

Z Jakiem seks był piękny. Był zjednoczeniem i powoływaniem nowego życia. Łączył się z przyjemnością fizyczną. Jake obudził w niej pożądanie, którego sama w sobie nie podejrzewała. Sama myślała o tym, że mogłaby znowu znaleźć się z nim w łóżku, poczuć jego dłonie na swoim ciele, wprawiała w ruch i tak już pobudzone hormony.

- Olejki i świece to fantastyczny pomysł - oznajmiła Lucy i Marisa przesunęła się, robiąc jej miejsce przy kasie.

Zapakowała zakupy, pożegnała klientkę i zwróciła się do Marisy:

- Dobrze się czujesz? Masz wypieki.

Przyłapaną na intymnych fantazjach Marisa zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Nie poznawała samej siebie. Powinna się

wstydzić, ale nie czuła wstydu. Czuła, że żyje: czuła się piękna i pożądana.

Lucy położyła palec na jej policzku.

- Jezu, ale ty jesteś rozpalona. Jesteś chora?

- Trochę oszołomiona. - Nie kłamała. Rzeczywiście była oszołomiona, tylko z innych powodów, niż Lucy mogła sądzić.

- Weź sobie wolne popołudnie. Prześpij się, odpocznij.

- To dobry pomysł. Chętnie się położę. - I znów nie kłamała, nie wspomniała tylko, że nie będzie w łóżku sama. Pójdę na górę. Dasz sobie radę?

- Poradzę sobie. Nie przejmuj się mną.

- Dzięki, Lucy. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Marisa wbiegła na górę, zatrzymała się na moment pod drzwiami pana Kloppmana, potem weszła do swojego mieszkania i od razu chwyciła bezprzewodowy telefon leżący na blacie w kuchni.

Wybrała z pamięci numer Jake'a i czekała, aż ktoś w studio podniesie słuchawkę, potem musiała odczekać chwilę, aż Jake podejdzie do telefonu.

- Cześć, to ja - odezwała się.

- Co tam? - burknął.

Poczuła okropne rozczarowanie. Czyżby był na nią wściekły? Zrobiła coś złego?

- Wszystko w porządku?

- Przepraszam. Mam dzisiaj zły dzień. - Głos Jake'a zabrzmiał łagodniej. - Problemy z kasą. Nie chciałem warczeć na ciebie.

- Może wolisz, żebym zadzwoniła później?

- Nie, w porządku. Przerwa dobrze mi robi.

- Może byś wpadł do mnie? Zapadła cisza, a potem powtórzył:

- Mam wpaść do ciebie?

- Tak. Jestem w domu. - Czyżby zapomniał o ich umowie?

- Przyjdź do mnie. Zapraszam cię na seks. Będziemy się kochać - wyraźniej już tego nie mogła chyba sformułować. W odpowiedzi usłyszała coś, co wzięła za westchnienie ulgi.

- Po prostu upewniam się. Nie chciałbym przekroczyć wyznaczonych granic.

- Wejdiesz tylnymi drzwiami, tak żeby Lucy cię nie widziała.

- Już pędzę! - zawołał i rzucił słuchawkę.

Kiedy zaczęli rozmawiać, przez moment myślała, że Jake się rozmyślił, że chce się wycofać.

Żeby czymś się zająć do przyjścia Jake'a, Marisa umyła zęby, uczesała się i pociągnęła rzęsy mascarą. Spuściła rolety w sypialni, zapaliła świece na szafce nocnej, potem otworzyła górną szufladę komody i wyjęła paczuszkę, którą schowała tam, kiedy kilka tygodni wcześniej zawarli umowę. Wyboru dokonała z myślą o Jake'u, ale nie była pewna, czy starczy jej odwagi, żeby włożyć koszulkę,

A koszulka była króciutka, czarna, prawie przezroczysta, wykończona koronką. Wyglądała w niej śmiesznie, tak seksownie, niemal wyzywająco, że pokręciła z niesmakiem głową. Co jej przyszło do głowy? Wyglądała jak dziewczyna z okładki jakiegoś obleśnego pisma dla mężczyzn. Normalnie nigdy w życiu nie włożyłaby czegoś podobnego. Nie mogła się w tym czymś, nie wiadomo czym, pokazać Jake'owi. Za nic w świecie.

- Skąd wiedziałaś?

Odwróciła się gwałtownie i oparła o komodę z takim impetem, że poprzewracały się stojące na blacie kosmetyki. Jake stał w drzwiach, oparty o framugę, i przyglądał się jej z zainteresowaniem.

Próbowała się zasłonić. Cholera, cholera, cholera. Jakim sposobem dotarł tu tak szybko?

- Nie słyszałam, kiedy wszedłeś.

Jake obszedł łóżko, ściągnął po drodze T-shirt i rzucił go na podłogę. Stała bez ruchu, obserwując, jak się w nią wpatruje głodnym wzrokiem. Trochę się spodziewała takiej reakcji, dlaczego w takim razie czuła się tak niezręcznie, dlaczego sytuacja wydawała się jej z gruntu fałszywa?

- Skąd wiedziałaś, że lubię czerń? - zapytał, stając przed nią.

- Czerń?

- Mówię o koszulce. - Przesunął palcem po śliskim materiale. - Jest... niesamowita.

- To stara szmatka - rzuciła lekceważącym tonem, ale głos zbyt jej drżał, żeby mogło to zabrzmieć przekonująco. Zdecydowanie nie była typem uwodzicielki. Nie leżało to w jej charakterze.

Przesunął dłonią po jej biodrze.

- Dla mnie ją nałożyłaś?

Pieszczota sprawiła, że pod Marisą ugięły się kolana, krew w żyłach zaczęła krążyć szybciej. Pragnęła, żeby jej dotykał, sama chciała dotykać jego, a przy tym czuła się zażenowana, że przyłapał ją w tym idiotycznym stroju.

- Powiedz, prawdę, Mariso. To dla mnie? - upewniał się.

- Tak - przyznała. Nie była zdziwiona, że przejrzał ją tak łatwo, że odgadł bez trudu jej intencję: owszem, chciała upozować się na jedną z tych kobiet, które, wedle jej wyobrażeń, mogły się podobać Jake'owi. Tylko że ten wizerunek nie miał z nią nic wspólnego. - Pomyślałam, że to może... zadziałać.

- Od tygodni fantazjowałem o tobie ubranej w czarną bieliznę.

Fantazjował? Od tygodni? Przez chwilę nie mogła dobyć głosu z gardła.

- Od... ilu tygodni? Zmarszczył czoło.

- Od zbyt wielu.

Miała zapytać, żeby dokładniej określił liczbę, ile tygodni to dla niego zbyt wiele, ale poczuła jego usta na ramieniu, owionął ją ciepły oddech i nie potrafiła już myśleć zbornie. Ciągle jednak nie mogła uwolnić się od dręczącego uczucia, że wszystko jest nie tak, jak być powinno. Że nie jest z nim szczerą.

Uwolniła się z jego ramion i cofnęła o krok.

- Przepraszam. Próbowałam, ale nie potrafię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jake zdziwił się mocno. Nic nie rozumiał, co ostatnio zdarzało mu się dość często.

- Co się dzieje? Spójrz na mnie. Marisa rozłożyła ręce.

- Wyglądam idiotycznie. Normalnie śpię w męskich T - shirtach albo w piżamie. To nie pasuje do mnie.

- To po co to włożyłaś?

- Sam mówiłeś, że lubisz czarną bieliznę. Wzruszył ramionami.

- I co z tego?

Spuściła wzrok, zawstydzona.

- Chciałam ci sprawić przyjemność. Nie jestem ślepa, widzę, jakie kobiety ci się podobają. Zupełnie inne niż ja.

- Mariso, spójrz w lustro. Pokręciła głową.

- Nie chcę.

Ani drgnęła, dopiero Jake musiał wziąć ją za ramiona i obrócić twarzą do lustra.

- Nie rozumiesz, że mi się podobasz i że nie ma to nic wspólnego z bielizną? Nieważne, co masz na sobie, nieważne nawet, jakie masz ciało. Chodzi o to, co jest w środku. - Położył dłoń na jej sercu. - To się liczy.

Mówił szczerze, tego była pewna. Łzy napłynęły jej do oczu. Przyciągnął ją do siebie.

- Dziękuję. - Przytuliła się do Jake'a, oparła policzek na jego piersi. Słyszała bicie jego serca.

Odgarnął jej włosy i pocałował w szyję.

- Musisz zejść na dół, czy Lucy poradzi sobie bez ciebie?

- Powiedziała, żebym się nie spieszyła.

- To dobrze, bo dałem chłopakom wolne popołudnie. Zdejmij to z siebie. - Chwycił za kraj koszulki i Marisa podniosła ręce. Kiedy ściągnął z niej czarne dziwadło, włosy opadły miękko na ramiona i na piersi.

- Lepiej?

Skinęła głową, a Jake położył dłonie na jej brzuchu i jedną zaczął przesuwać w górę. Patrzył w lustro i Marisa patrzyła w lustro, zaglądała mu w oczy i on zaglądał jej w oczy. Widziała odbicie ich obojga, widziała, jak Jake zamyka w dłoni jej pierś, jak pieści palcami sutki. Czowała, jak jej ciało budzi się do życia. Jęknęła cicho, zamknęła oczy i oparła głowę o jego pierś.

- Jesteś piękna, Mariso - szepnął, całując ją w szyję. - Uwielbiam cię pieścić, sprawiać ci przyjemność.

Długą dłoń zsunął niżej, między jej uda.

- Patrz w lustro, Mariso. Przyglądaj się nam...

Kiedy obydwoje powrócili na ziemię, leżeli w łóżku, spleceni ze sobą, jeszcze oszołomieni, zdyszani. Jeszcze przez długą chwilę żadne z nich się nie odzywało.

- Jake... - szepnęła w końcu Marisa.

Nachylił się, pocałował ją w policzek, potem w jedną powiekę, w drugą, w koniuszek nosa.

- Tak?

- Czy tak jest zawsze?

Omam nie parsknął śmiechem, tak absurdalne wydało mu się pytanie. Dla niego była to taka sama zagadka jak dla niej.

- Nigdy jeszcze nie czułem się tak jak z tobą. Pocałował ją i Marisa się uśmiechnęła.

- Chyba zmienię opinię - mruknęła.

- W jakiej sprawie?

- Polubiłam seks. Bardzo polubiłam. Myślę, że powinniśmy zrobić to jeszcze raz.

- Wybierzesz się w weekend na zakupy?

Lucy podniosła głowę znad sterty jedwabnych pasków, które sortowała według kolorów i szerokości.

- A czy kiedykolwiek odmówiłam? Masz jakieś specjalne plany?

- Muszę kupić prezent ślubny dla Josepha i Julii.

- Marisa oparła się o ladę, wsparta brodę na dłoniach.
- Potrzebna mi nowa sukienka. Myślałam o małej czarnej, krótkiej, najlepiej przed kolano.
- Co się dzieje? - Lucy przeczesła palcami czuprynę. Marisa wzruszyła ramionami.
- O co ci chodzi?
- Spójrz na siebie. Zniknęły długie, sute spódnice, bluzka z głębokim dekoltem. Schudłaś?
- Nie, chyba nie.
- Nie rozumiałaś mnie. Wyglądasz świetnie.

Marisie zrobiło się przyjemnie. Rzeczywiście wyglądała nieźle. W swoich obszernych ciuchach zaczęła się czuć... zaniedbana. Nosila się tak od dawna, żeby nie przyciągać uwagi mężczyzn. Jak jej matka, która ubierała się wyzywająco i była uosobieniem tandety. Od kiedy rozpoczęli z Jakiem kampanię pod hasłem "Dziecko", inaczej odczuwała własne ciało. Wiedziała, że Jake jej pragnie, i to dodawało jej niezwykłej energii, sił życiowych, których nigdy wcześniej w sobie nie miała. Być może chodziło o to, że wreszcie zaakceptowała siebie i rozumiała, że chociaż jest zewnętrznie podobna do matki, nie musi być taka jak ona.

- Wszystko jedno, co się stało, ale tak czy inaczej, wyglądasz świetnie - powtórzyła Lucy. - Teraz tylko musimy znaleźć ci faceta.

Mam faceta, dziękuję, pomyślała Marisa. Przynajmniej przez kilka dni w miesiącu. Pierwsza próba niestety skończyła się fiaskiem: w trzy dni po tym, jak się kochali po raz ostatni, dostała okres. Nigdy nie miesiączkowała regularnie i najdrobniejsza zmiana diety, zmiana nastroju, potrafiły spowodować znaczne zaburzenia cyklu. Teraz za bardzo się denerwowała, jaki będzie efekt ich poczynań, chodziła spięta, czekała i organizm się rozregulował.

Jake z pełnym zrozumieniem przyjął wiadomość, że ich starania nie przyniosły na razie żadnego rezultatu. Trzymał ją długo w ramionach, a kiedy już się wypłakała, położył do łóżka, przygotował termofor i zaparzył herbatkę ziołową. Sam miał mnóstwo pracy w związku z nagrywaniem płyty, prawie nie wychodził ze studia, ale był przy niej, kiedy go potrzebowała. Nawet wtedy, kiedy skręcała się z bólu, a środki przepisane przez lekarza nie pomagały.

Prawdę powiedziawszy, miewała gorsze bóle, w tym miesiącu nie było tak strasznie, jak bywało czasami. Owszem, bóle się pojawiły, ale już nie takie, jak wcześniej, kiedy przez kilka dni z rzędu nie była w stanie podnieść się z łóżka. Teraz przeleżała w łóżku jeden dzień, następnego mogła już zejść do sklepu.

Za dwa tygodnie spróbują znowu, pomyślała już bez najmniejszych zahamowań. Czekwała na to, pragnęła znowu pójść z Jakiem do łóżka.

Marzyła o dziecku, ale w miarę szybko pogodziła się z porażką, nawet czuła pewną ulgę. Wcale nie chodziło o to, że bała się macierzyństwa, że była do niego nieprzygotowana. Przeciwnie, przygotowywała się i finansowo, i emocjonalnie od kilku lat i czekała na odpowiedni moment. Była płodna, mogła regulować swój czas pracy i była w stanie dać dziecku wszystko, czego będzie potrzebowało.

Jednego tylko nie przewidziała: swoich reakcji wobec Jake'a. Może była egoistką, ale chciała, żeby nadal pozostali kochankami. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Zauważyłam, że Jake ostatnio uważnie ci się przygląda - powiedziała Lucy.

Marisa podniosła głowę i zaśmiała się nieszczerze.

- Wydaje ci się.

- Czyżby? Nie, niemożliwe.

Od czasu ostatniej próby Jake ani razu nie wspomniał o seksie i starał się zachowywać normalnie, jakby wcale jej nie pragnął. Obydwoje unikali nawet najbardziej niewinnego kontaktu fizycznego.

Szczerze mówiąc, dla Marisy było to bardzo frustrujące. Na pozór zachowywali się jak para starych przyjaciół, co doprowadzało ją do obłędu.

- Naprawdę - upierała się Lucy. - Kiedy nie widzisz, cały czas wpatruje się w ciebie, śledzi każdy twój ruch. - Lucy wyszczerzyła zęby w domyślnym uśmiechu. - Myślę, że Jake ma na ciebie ochotę.

- Bzdura.

Lucy naciągnęła pasek, który trzymała w dłoniach, i strzeliła nim w Marisę jak gumą.

- Moim zdaniem ty też się w nim podkochujesz. Marisa chwyciła pasek w locie.

- Ja się w nim nie podkochuję, ja go kocham.

- Mam na myśli inną miłość. Chciałam powiedzieć, że zadurzyłaś się w nim - oznajmiła Lucy i podniosła rękę, widząc, że Marisa chce coś powiedzieć. - Wiem, wiem, obydwójce jesteście wrogami małżeństwa. Bla, bla, bla... Słyszałam to już od was setki razy i myślę, że jesteście emocjonalnie opóźnieni w rozwoju. Po co żyć, jeśli nie można tego życia dzielić z kimś wyjątkowym, z kimś, kogo się kocha? A kto się do tego bardziej nadaje niż najlepszy przyjaciel?

- Nie łączą nas tego rodzaju relacje. - Przynajmniej nie zawsze. - Nawet gdybyśmy mieli ochotę być ze sobą - „ochotę”, cóż za blade określenie - to ja chcę mieć dziecko, a Jake w ogóle nie myśli o dzieciach. - Poważny problem. - Jakkolwiek na to patrzeć, rzecz nie mogłaby się udać.

Zadzwonił dzwonek nad drzwiami i ku utrapieniu Marisy w progu stanęła jej przyszła macocha.

- Witaj, Julio.

- Cześć, Mariso, Lucy. - Julia weszła z wahaniem do środka. Miała na sobie prostą letnią sukienkę, na nogach sandały na płaskim obcasie i wydawała się o wiele drobniejsza niż na monstrualnych szpilkach: drobniejsza i młodsza. Dzisiaj Marisa dałaby jej najwyżej szesnaście lat.

- Podoba mi się w sklepie. Świetnie to zaaranżowałyście.

- Dzięki. - Zmieniały właśnie wystrój, przygotowując się do letniej wyprzedaży. Wnętrze rzeczywiście prezentowało się nieźle, ale Marisa była zaskoczona, że Julia cokolwiek zauważyła. - Co cię sprowadza?

Julia podeszła do lady, położyła na niej torebkę.

- Twój ojciec wyjechał w interesach i pomyślałam, że mogłybyśmy wybrać się razem na kolację. Powinnyśmy lepiej się poznać, bardzo bym tego chciała.

- Lucy i ja mamy już plany na dzisiejszy wieczór. Julia posmutniała, ale szybko przywołała na twarz pogodny uśmiech.

- Może innym razem...

Sięgnęła po torebkę, ale Marisa przytrzymała jej dłoń i zrobiła coś, czego później, tego się obawiała, mogła żałować.

- Może pójdziesz z nami? Julia zawahała się.

- Nie, nie chcę przeszkadzać.

- Nie będziesz przeszkadzać - włączyła się Lucy.

- Idziemy do baru, tu niedaleko, posłuchać Jake'a. Gra dzisiaj wieczorem. Starczy miejsca i dla ciebie przy naszym stoliku.

- Jeśli uważacie, że mogę... - Julia spojrzała niepewnie na Marisę.

- Będzie miło. Jeżeli lubisz jazz. Julia pokiwała entuzjastycznie głową.

- Uwielbiam jazz. Marisa spojrzała na zegarek.

- Zamykamy za dwadzieścia minut i idziemy prosto do baru. Jeśli chcesz, możesz tu poczekać.

- Chętnie. - Julia wygładziła sukienkę, przeczesła włosy palcami. - Wyglądam trochę nieporządnie, cały dzień biegałam w tym upale po mieście. Mogłabym się trochę odświeżyć, poprawić makijaż?

- Na zapleczu jest łazienka, ale światło jest marne. Możesz iść na górę, do mojej łazienki. Mieszkanie jest otwarte.

Kiedy Julia zniknęła, Lucy podniosła głowę znad kasy.

- Byłam pewna, że jej nie polubię, ale dziewczyna wydaje się w porządku. Zależy jej na twojej sympatii. Dobrze zrobiłaś, że zaproponowałaś jej pójście z nami.

- Bałam się, że się rozplacze, jak ją splewię. Korona mi z głowy nie spadnie, jak poznam ją trochę lepiej. Będę się czuła swobodniej na ślubie.

- Może się nawet z nią zaprzyjaźnisz.

W to akurat Marisa nie wierzyła, ale nie podzieliła się swoją opinią z Lucy. Joseph zbyt często zmieniał żony, co poważnie utrudniało nawiązywanie z nimi bardziej zażyłych znajomości. Zresztą żadna z dotychczasowych nie przejawiała takich chęci. Traktowały Marisę jako zaszłość z życia Josepha i nie poświęcały jej uwagi. Marisa to były alimenty, a potem czesne w czasie studiów: świadczenia, a nie osoba.

Miło, że Julia chciała nawiązać kontakt, chociaż Marisa czuła, że po ślubie zapomni o swoich dobrych chęciach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Panie Carmichael, czy... mogłabym prosić o autograf?

Jake odwrócił się i zobaczył stojącą tuż koło sceny dziewczynę w bluzce z głębokim dekoltem; stary trik, na który próbowały łapać swoje bożyszcza.

- Oczywiście. - Zeskoczył ze sceny i wziął od niej flamaster. Panienska obciągnęła bluzkę, odsłoniła różowy stanik i uśmiechnęła się zalotnie. - Tutaj, dobrze?

Jake wzruszył ramionami. Składał już autografy w różnych dziwnych miejscach. Przynajmniej ta nie prosiła, żeby złożył autograf na piersi, co już mu się kiedyś zdarzyło.

Podpisał się na miseczce stanika i oddał jej pisak.

- Proszę bardzo.

- Kupiłam ten stanik w sklepie pana dziewczyny - poinformowała wielbicielka Jake'a, poprawiając bluzkę. - Miła osoba.

- U mojej dziewczyny? U Marisy?

- U tej, która ma sklep z bielizną. - Wielbicielka uśmiechnęła się konspiracyjnie. - Faktycznie to ona nie jest pana narzeczoną.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Zdradziła mnie i mojej przyjaciółce pana sekret. Jake poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go prosto w żołądek.

- Tak?

Dlaczego Marisa to zrobiła? Przecież ustalili: nikomu ani słowa. A ona opowiada o tak intymnych sprawach zupełnie obcym ludziom?

- Niech się pan nie martwi. Nikomu nie powiemy - zapewniła wielbicielka.

Pokręcił głową. Nie mógł po prostu uwierzyć. Przyrzekli, że będą milczeć. Marisa zawsze dotrzymywała słowa.

- Marisa powiedziała ci, co robimy?

- Nie, ta ruda powiedziała, ale Marisa przy tym była. Lucy też wiedziała? Komu jeszcze zwierzyła się Marisa?

- Przepraszam. - Dziewczyna rozejrzała się niepewnie. - Nie chciałam nikomu sprawić przykrości. Chciałam tylko pogratulować.

Coś kazało Jake'owi spojrzeć w kierunku drzwi. Wcale się nie zdziwił, widząc wchodzącą Marisę. Ostatnio reagował, jakby miał coś w rodzaju radaru. Instynktownie wyczuwał, gdy pojawiała się w pobliżu. Kierowała się do stolika, przy którym zawsze siadała, za nią szły Lucy i Julia.

Chciał o coś jeszcze zagadnąć dziewczynę, ale ta już zniknęła na dobre. Spojrzał znowu w kierunku stolika Marisy. Jak mogła mu to zrobić? Ufał jej. Czy nie rozumiała, że dziecko nie powinno na razie wiedzieć, kto jest jego ojcem? Tymczasem ona rozpowiadała na prawo i lewo o swoich planach i wkrótce całe miasto pozna tajemnicę.

Marisa uśmiechała się do niego, ale kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, uśmiech natychmiast znikł.

Powiedziała coś do Lucy i Julii, po czym podniosła się i podeszła do Jake'a.

- Co się stało? Wyglądasz na zdenerwowanego. Wziął ją za rękę i odciągnął na bok.

- Ilu osobom powiedziałaś?

- O czym?

- O nas. O naszej umowie.

- Umówiliśmy się, że nie powiemy nikomu. Julia coś podejrzewa, ale obiecała dochować tajemnicy.

- To dlaczego przed chwilą podeszła do mnie twoja klientka i oznajmiła, że zna „nasz mały sekret”?

- Nie mam pojęcia, Jake. Nic nikomu nie mówiłam.

- To jakim sposobem Lucy wie?

- Lucy nic nie wie, a nawet jeśli wie, to nie ode mnie.

- Ta dziewczyna twierdzi, że Lucy jej powiedziała i że ty byłaś przy tym. Lucy musi wiedzieć.

Marisa bezradnie wzruszyła ramionami.

- Musisz ją pamiętać: młoda, ładna, kupowała różowy stanik.

Różowy stanik? Marisa zaczynała coś sobie kojarzyć.

- Jadwicie różowy, z poduszczkami z gąbki?

- Tak. Właśnie przed chwilą złożyłem na nim autograf.

Panienska od różowego stanika. Mogła się od razu domyślić. Marisa zamknęła oczy i pokręciła głową.

- Przysięgam, że zabiję Lucy.

- A więc jednak jej powiedziałaś? - Wydawał się bardziej dotknięty niż zły. - Mariso, uzgodniliśmy, że nikomu nie powiemy ani słowa. Przyrzekliśmy to sobie. Nie mogę uwierzyć, że nie dotrzymałaś obietnicy.

Położyła dłoń na jego ramieniu, czuła pod palcami napięte mięśnie.

- Nikomu nic nie powiedziałam. Ta dziewczyna mówiła o innym „małym sekrecie”.

Jake zachmurzył się.

- Od kiedy to mamy jeszcze inne sekrety?

- Lucy powiedziała tym pannicom, że jesteśmy zaręczeni. Żartowała - dodała szybko, żeby Jake nie wyobraził sobie Bóg wie czego. - Wiesz, że ona lubi robić ludzi w balona. Wtedy w ogóle jeszcze nie było mowy o dziecku.

- A więc to żart?

- Wiesz, że Lucy ma dość specyficzne poczucie... - nie zdążyła dokończyć, bo Jake chwycił ją w ramiona i zamknął w żelaznym uścisku.

- Przepraszam cię - powiedział, przytulając policzek do jej włosów. - Przepraszam, że cię podejrzewałem.

- Nie gniewam się, Jake. - I ona go objęła i było to bardzo miłe. Bardzo miłe. - Małe nieporozumienie. Zdarza się.

- Nie powinienem był podnosić głosu na ciebie. - Czuła jego ciepły oddech na szyi, który przyprawiał ją o lekki dreszcz.

To naprawdę było zbyt piękne. Zbyt dobrze jej było z Jakiem. Zamknęła oczy, wdychała zapach jego włosów, jego wody kolońskiej. Przygarnął ją jeszcze mocniej do siebie, Marisa westchnęła, wtuliła się w niego.

Coś musiało ją opętać. Nigdy w życiu nie odważyła się jeszcze na tak śmiały gest. W dodatku w barze pełnym ludzi. A przecież to ona. To jej dłonie przyciskają lędźwie Jake'a z całych sił do jej własnego podbrzusza.

Jake jęknął cicho. Walczył z sobą, czuła, że próbuje zapanować nad emocjami. Wsunęła dłonie pod jego koszulę, przesuwając paznokciami po nagiej skórze...

Ktoś za nimi chrząknął wymownie i Jake odepchnął ją tak mocno, że się zachwiała.

Louis stał na scenie, tuż nad nimi.

- Przepraszam, widzę, że wam przeszkodziłem. Jake przeczesał włosy dłonią.

- My tylko... Nic się nie stało.

Nic? Mogła nawet zrozumieć, że ją odepchnął, ale to „nic się stało”?

Louis miał mocno niewyraźną minę.

- Zaraz zaczynamy.

- Już do was dołączam. - Poczekał, aż Louis odejdzie, i zwrócił się do Marisy: - Ja...

Podniosła dłoń, powstrzymując dalsze słowa.

- Nic nie mów. Przepraszam, to moja wina. Więcej się to nie zdarzy.

Zanim zdążył zareagować albo, co gorsza, podziękować jej, umknęła do stolika. Czuła się tak, jakby ktoś wyrwał jej serce z piersi i podeptał.

- Jake jest niesamowity - sapnęła Julia i dała znak kelnerce, żeby przyniosła jej następne piwo, choć Marisa podejrzewała, że jej przyszła macocha nie skończyła jeszcze dwudziestu jeden lat i nie ma prawa zamawiać alkoholu. - Czy to wszystko jego utwory?

- Większość! - zawołała Marisa, przekrzykując dźwięki muzyki.

Nie spuszczała wzroku z blondynki siedzącej o dwa stoliki dalej, tej samej, która od kilku tygodni regularnie przychodziła do baru. Wpatrywała się w Jake'a swoimi niebieskimi oczami w taki sposób, że robiło się niedobrze. Dosłownie niedobrze, bez żadnych przenośni.

Była wysoka, bardzo atrakcyjna, długonoga. Zupełne przeciwieństwo Marisy.

Siedziała tuż przy scenie i od chwili, kiedy Jake zaczął grać, wgapiła się w niego natrętnie. Jake unikał fanek, nie lubił tego typu dziewczyn, ale ta wyraźnie go interesowała. Tak bardzo był rozkojarzony, że nawet nie podszedł do Marisy po pierwszym utworze.

Cóż, zdenerwowała go historia z „małym sekretem”. Poza tym nie chciał pewnie, żeby nowa wielbicielka zorientowała się, że coś go łączy z Marisą. Może dlatego tak ostro zareagował na myśl, że Marisa rozpowiada wokół o ich umowie. Może z tą blondynką to coś poważnego.

- Gdzie Jake studiował? - zapytała Julia.

- Jake nie skończył żadnych studiów.

Julia nachyliła się ku Marisie, żeby lepiej słyszeć.

- Uczył się prywatnie?

- Zupełnie prywatnie. Jest samoukiem.

Julia szeroko otworzyła oczy.

- Musiał się uczyć u kogoś.

- Jake ma po prostu wielki talent.

Utwór się skończył. Blondynka zerwała się z krzesła, zaczęła jak szalona bić brawo i podbiegła do sceny, już otoczonej przez tłum młodych kobiet.

- Ma kontrakt z jakąś wytwórnią płytową? - pytała Julia.

- Ma własne studio nagraniowe. Jego zespół utrzymuje się z nagrań. Jake jest jednym z najbardziej wziętych muzyków sesyjnych w Detroit.

- Kim jest ta kobieta obok niego? - zapytała Lucy, spoglądając podejrzliwie na blondynkę. - Ma fatalnie położoną farbę i za często się tu kręci.

Marisa wzruszyła ramionami, zrobiła obojętną minę. Nie miała żadnego prawa czuć się zagrożona czy zazdrosna. Nie miała żadnego prawa do uczuć Jake'a.

- Nie znam jej. Nawet jeśli się z nią spotyka, nic mi o tym nie wspominał.

Marisa poczuła klepnięcie w ramię, odwróciła się i zobaczyła jakiegoś obcego faceta.

- Zatańczysz? - Posłał jej niezbyt trzeźwy uśmiech. Czy zatańczy? Kiedy ostatnio z kimś tańczyła, jeśli nie liczyć Jake'a? Mężczyźni ją zapraszali, ona odmawiała, ale ten wydawał się miły i był nieźle ubrany. Uznała, że może z nim zatańczyć, nawet jeśli jest wstawiony. Spojrzała na Jake'a, zobaczyła, że ją obserwuje, i tym bardziej utwierdziła się w swojej decyzji. Niech zobaczy, że między nimi nic się nie zmieniło. Bo się nie zmieniło. Dzisiaj wyraźnie dał to do zrozumienia.

- Zatańcz - szepnęła Lucy i dała Marisie sówkę w bok.

- Dlaczego nie? - Marisa podniosła się z krzesła. Kiedy partner prowadził ją na parkiet, Lucy wydała jakiś nieartykułowany, ale niewątpliwie oznaczający aprobatę odgłos, a Julia cicho gwizdnęła. Marisa zerknęła na Jake'a, ciekawa jego reakcji, ale on, pogrążony w rozmowie z blondynką, nic nie zauważył.

- Mam na imię Mark - mruknął amator tańca i trochę zbyt blisko przygarnął Marisę do siebie. Albo tak mu się podobała, albo musiał się na niej wesprzeć, żeby nie upaść. - Obserwowałem cię przez cały wieczór. Nigdy w życiu nie widziałem tak ślicznej dziewczyny.

- Ehm, dziękuję. - Próba nawiązania rozmowy dość wyświechtana, ale Marisa i tak poczuła się pochlebiona. Facet ją podrywał i należało mu to zapisać na plus.

W czasie tańca starał się rozmawiać o tym i owym, co, zważywszy na jego stan, szło mu nawet całkiem nieźle. Twierdził, że jest inżynierem z Chicago i przyjechał do Detroit w interesach. Kiedy powiedziała, że ma sklep z bielizną damską, wyraźnie się zainteresował. Chociaż może tylko to jej imaginacja...

Była niemal pewna, że Jake ją obserwuje, ale ilekroć zerknęła w jego stronę, widziała go pogrążonego w rozmowie z blondynką. Z drugiej strony, dlaczego miałby się przejmować tym, że Marisa tańczy z jakimś obcym facetem?

Kiedy utwór dobiegł końca, uwolniła się z objęć Marka.

- Dziękuję.

- Daj spokój, maleńka. Jeszcze jeden taniec. - Wyciągnął ku niej rękę; i znowu to samo odczucie, że jest obserwowana.

Spojrzała w stronę Jake'a i zobaczyła, że szybko odwraca wzrok. Jednak ją obserwował.

Uśmiechnęła się do Marka, mimo że nazwał ją „maleńką”.

- Jeszcze tylko jeden.

Objął ją w talii i zaczęli się kołysać w rytm zmysłowej muzyki. Tak bardzo starała się trzymać od niego z daleka, że rozboleł ją krzyż. Kiedy poczuła jego dłonie na pupie, miarka się przebrała. Położyła mu dłonie na piersi i odepchnęła go.

- Dziękuję za taniec, Mark. Było bardzo miło. - Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odwróciła się i ruszyła w stronę toalety.

Owszem, mogła zatańczyć, ale nie pozwoli się obściskiwać. Wprawdzie od pewnego czasu inaczej odczuwała własne ciało, co wcale nie znaczyło, że da się podrywać przygodnym, do tego pijanym amatorom tanich doznań. A może to nowe odczuwanie odnosiło się tylko do Jake'a?

Wszystko jedno, pomyślała sobie. Kiedy już zajdzie w ciążę, mężczyźni niewiele będą ją obchodzić.

W łazience przyczesła włosy, poprawiła makijaż. Kiedy wychodziła, wielka łapa chwyciła ją za ramię i pociągnęła w głąb korytarza.

Mark, bo to był on, przycisnął ją do ściany i koniecznie chciał pocałować. Wionęło alkoholem i Marisa zacisnęła usta.

Niepotrzebnie zgodziła się z nim zatańczyć, przemknęło jej przez głowę. Zgodziła się, bo sprawiał wrażenie niegroźnego.

- Co z tobą? - wybełkotał, przyciskając ją jeszcze mocniej do ściany. Alkohol najwyraźniej nie osłabił wszystkich jego organów.

Marisie udało się wcisnąć kolano między jego uda i teraz wystarczyło jedno mocne pchnięcie, ale jeszcze czekała, że sam odstąpi, przestanie ją napastować.

- Chcę spędzić z tobą noc, maleńka.

- Zgodziłam się wyłącznie na taniec. Obawiam się, że źle odczytałeś moje intencje. Będę zobowiązana, jeśli mnie puścisz. Natychmiast.

Nie zamierzał jej puścić.

Ostrzegła go. Chwyciła go teraz za ramiona, żeby nie stracić równowagi, i już miała zadać cios, kiedy pijany amator przygód poleciał, szarpnięty z całych sił, na przeciwległą ścianę.

Obok Marisy stał Jake, z zaciśniętymi dłońmi, z pałającymi wściekłością oczami.

- Pani prosiła, żebyś ją puścił.

Scena łudząco przypominała początek ich znajomości, kiedy to dwóch smarkaczy przyparto ją do ściany w jakimś ciemnym kącie szkolnego korytarza i w prostych słowach wyjaśnili, jakie mają wobec niej intencje. Ci, którzy słyszeli o jej matce, a do chłopców w szkole dochodziły różne pogłoski o jej swobodnym trybie życia, najwyraźniej uznali, że jabłko upada niedaleko od jabłoni. Podczas tamtego incydentu pojawił się Jake Carmichael, młodszy brat zabijaki Toma Carmichaela. Miał wtedy jedenaście lat, ale wyglądał tak groźnie, że dwaj trzynastoletni napastnicy zmyli się jak niepyszni.

Wtedy była małą dziewczynką atakowaną przez chłopaków niemal dwa razy wyższych od niej. Teraz była dorosłą kobietą zdolną poradzić sobie z bełkoczącym pijakiem.

Mark Obściskiwacz osunął się na podłogę. Jake stanął nad nim w groźnej pozie.

- Zmywaj się - warknął i amator rozrywek podniósł się niezdarnie, mrużąc pod nosem słowa przeprosin.

- Co ty wyprawiasz, Jake! - zawołała Marisa.

- Ratuje cię - wyjaśnił Jake i chwycił ją za ramię.

- Nic ci nie jest?

- Ratusz mnie? - sarknęła. - A kto ci powiedział, że potrzebuję ratunku?

Jake spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Ten facet cię atakował. Nie powiesz mi chyba, że lubisz być molestowana.

Marisa strząsnęła jego dłoń z ramienia.

- Jasne, że nie lubię, nikt nie lubi, ale panowałam nad sytuacją.

Jake zaśmiał się.

- Tak, rzeczywiście panowałaś nad sytuacją, kiedy próbował wsadzić ci język do ust.

- Nie jestem małą bezbronną dziewczynką i nie potrzebuję, żeby mnie bronił dzielny Jake Carmichael.
- Marisa pchnęła drzwi wychodzące na zaułek na tyłach baru i zniknęła za nimi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jake wyszedł za nią, ciągle wściekły, że zgodziła się zatańczyć z tym pijanym palantem. Nie mógł znieść myśli, że jakiś pijak próbował ją obmacywać, że mógł zrobić jej krzywdę.

- Nie zauważyłaś, że facet był pijany, kiedy prosił cię do tańca? Chciałaś, żeby cię obmacywał? Podobało ci się to?

Zatrzymała się, zmierzyła go pełnym pogardy wzrokiem i dopiero teraz zrozumiał, co palnął. Nie mógł cofnąć wypowiedzianych słów. Marisa odeszła.

Ruszył za nią.

- Mariso, poczekaj. Nie to miałem na myśli. Dokąd idziesz?

Nie spojrzała nawet na niego.

- Do domu - wycedziła przez zęby. - I nie próbuj iść za mną.

- Jest ciemno, jesteś w pustym zaułku i wyobraź sobie, że będę szedł za tobą.

- Wracaj do swojej panienki.

- Jakiej panienki? - Chwycił ją za nadgarstek. - Zwolnij, Mariso, na litość boską...

Wyrwała rękę.

- Tylko bez przemocy!

- Ja używam przemocy? Założyła ręce na piersi.

- Dałabym sobie świetnie radę sama. W czasie studiów skończyłam kurs samoobrony i wiem, co robić w podobnych sytuacjach,

Kurs samoobrony. Jake poczuł się jak skończony głupek. Rzucił się jej na ratunek niczym bohater tandetnych komiksów i nawet do głowy mu nie przyszło, że być może Marisa wcale nie potrzebuje jego pomocy. A potem zachował się tak, jakby to była jej wina, jakby sama szukała kłopotów.

Co gorsza, stracił panowanie nad sobą. Dwa razy tego wieczora. Najwyższy czas, żeby spojrzeć w oczy prawdzie. Marisa nie potrzebowała opiekuna.

Poczuł dziwną pustkę na tę myśl. Zawsze przecież go potrzebowała. Kim by był, do cholery, gdyby jej nie strzegł, nie chronił? Jaki sens miałaby jego egzystencja? A może do tej pory karmił się złudzeniami? Może nadszedł czas, kiedy przestała potrzebować jego przyjaźni? I co dalej? Jak teraz, będzie wyglądało jego życie?

- Przepraszam - powiedział, wkładając ręce do kieszeni. - Kiedy zobaczyłem, że ten facet dobiera się do ciebie, ogarnął mnie szal.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Widziałem, że polazł za tobą. Wyczułem, co się święci.

- W zaułku było ciemno, ale Marisa dojrzała cień uśmiechu na twarzy Jake'a. - Chyba trochę zbyt gwałtownie zareagowałem.

- Chyba - zgodziła się. - To miłe, że ciągle czujesz się w obowiązku bronić mnie. Irytujące, ale miłe.

- Przepraszam za to, co powiedziałem. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Wiem, że nie jesteś taka jak twoja matka.

- Ja też wiem. Trochę trwało, zanim to zrozumiałam, ale wreszcie do mnie dotarło, że jednak się różnimy.

- Pozwól przynajmniej odprowadzić się do domu.

- A co z tą blondynką?

- Z jaką blondynką? Marisa odwróciła wzrok.

- Z tą, która ciągle przychodzi do baru. Będzie się zastanawiała, dlaczego tak nagle zniknąłeś.

Marisa była zazdrosna. Omal nie zaczął się śmiać, taką poczuł ulgę. To by znaczyło, że zatańczyła z tym pijanym palantem tylko dlatego, żeby i on poczuł się chociaż przez chwilę zazdrosny. Rzeczywiście ogarnęła go wściekłość, kiedy zobaczył ją na parkiecie w ramionach tamtego. Nikt nie miał prawa jej obejmować: tylko on.

- Nie martw się o nią. Zrozumie. Szli zaułkiem w stronę ulicy.

- Nigdy się nie kłóciliśmy, a tu dwie awantury jednego wieczoru - podsumowała Marisa.

- Masz rację, nigdy się nie kłóciliśmy. - Wziął ją za rękę. Mocno ścisnęła jego dłoń. Jej skóra była gładka i ciepła. Jake słyszał, że można się podniecić w złości, ale nigdy w to nie wierzył.

Aż do dzisiaj.

Gdyby Louis im nie przerwał, kiedy tulili się do siebie koło sceny, być może nie zapanowałyby nad sobą, Bóg wie, co by się stało. Pewnie zaczęliby się kochać, tam w barze, tuż za sceną...

Oczywiście złamałby umowę. Wyraźnie sobie powiedzieli, że będą uprawiać seks tylko w czasie owulacji. Czekał, próbował nie zbliżać się do Marisy, nie dotykać jej. Tęsknił za chwilą, kiedy będzie znowu mógł pójść z nią do łóżka. Kochał się z nią kochać, jeśli tak można to ująć. Sprawiało mu to ogromną radość, tak wielką, że zaczynał bać się własnych reakcji. Nie przestawał myśleć o Marisie. Przychodziły mu do głowy szalone pomysły: stały związek. Żeby tak już zostało... Dwoje przyjaciół, którzy sypiają ze sobą, kiedy przyjdzie im na to ochota, bez żadnych zobowiązań. A ochotę odczuwali ostatnio oboje nader często...

Marisa i jej dziecko zasługiwali na coś więcej. Na kogoś lepszego niż on.

- Muszę przyznać, że pięknie go załatwiłeś - powiedziała, przerywając milczenie.

Jake skinął głową i mocniej ścisnął jej dłoń. Spojrzała na niego pytająco. Zanim zastanowił się, co robi, oparł Marisę o najbliższą latarnię i pocałował. Powinna go odepchnąć, dać mu w łeb za takie zachowanie, ale nie zrobiła tego. Zatopiła palce w jego włosach i przyciągnęła go do siebie. A potem jej

dłonie jakby zaczęły żyć własnym życiem, pieściła ramiona Jake'a, plecy, wsunęła je pod koszulę.

Wtulił się w nią, chciał ją mieć teraz naga, wejść w nią, ale przecież nie tu, nie na ulicy.

Co on wyprawia? Co w niego wstąpiło? Oboje ocknęli się w tym samym momencie i oderwali się od siebie, dysząc ciężko.

- To było... dość nieoczekiwane - sapnęła Marisa, poprawiając spódnicę.

Jake odchrząknął.

- Omal nie złamaliśmy zasad.

- Zauważyłam. - Unikała jego spojrzenia, rozglądając się nerwowo po pustym zaułku, jakby chciała się upewnić, że nikt ich nie widział. - Chyba za dużo wypiliśmy.

Za dużo wypięła? Kiedy całowali się za sceną, nie zdążyła wypić jeszcze ani jednego drinka. Dlaczego nie przyzna po prostu, że obojgu zdarzył się moment słabości? Hamowane pożądanie znalazło wreszcie ujście. A może nie chciała przyznać, że go pragnie?

Trwały związek? Skąd mu przychodzą do głowy takie bzdury? Nie miał ochoty na żaden trwały związek z kimkolwiek.

- Muszę wracać do domu - oświadczyła Marisa.

- Odprowadzę cię. Zawahała się.

- Lepiej nie.

- Nie bój się, nie wejdę na górę. Odprowadzę cię pod dom i znikam. Na ludnej ulicy chyba nic nam grozi?

Obok nich przemknął wóz policyjny na syrenie.

- Powinam chyba powiedzieć Lucy i Julii, że wychodzę.

- Wrócę i powiem im, że odprowadziłem cię do domu. -

Wyciągnął dłoń. - Chodźmy.

Chwilę się wahała, w końcu podała mu dłoń i ruszyli przed siebie.

- Jake... - szepnęła Marisa. - To nie był alkohol.

Mocniej ścisnął jej dłoń, mocniej zabiło mu serce.

- Wiem.

Ulicą przemknął wóz straży pożarnej, zaraz za nim karetka na sygnale.

- Coś się stało - powiedziała Marisa i jakby na potwierdzenie jej słów obok przejechał kolejny radiowóz policyjny.

Jake wyciągnął szyję, żeby zobaczyć coś ponad tłumem cisnącym się na chodniku. Wszystkie wozy zatrzymały się tuż obok... Nie, to niemożliwe.

- Mariso, to...

Ale Marisa nie słuchała. Wyrwała się Jake'owi i zaczęła przeciskać przez zbitą gromadę gapiów zebranych przed jej domem.

W ciemne niebo unosił się szary obłok dymu.

Mogło skończyć się znacznie gorzej.

Wszyscy byli co do tego zgodni.

Marisa siedziała w radiowozie i obserwowała strażaków zwijających swój sprzęt. Łatwo tak powiedzieć, kiedy omal nie straciło się własnego domu i źródła utrzymania.

- Pani Donato?

Podniosła głowę i zobaczyła Annie, córkę pana Kloppmana. Jego samego zabrała karetka wkrótce po pojawieniu się Marisy i Jake'a. Całe piętro budynku spaliło się w pożarze.

Annie łzy spływały po policzkach.

- Tak mi przykro, pani Donato.

- Z ojcem wszystko w porządku?

Annie skinęła głową i otarta łzy.

- Ma kilka oparzeń drugiego stopnia, nawdychał się dymu, ale poza tym nic mu się nie stało.

- Całe szczęście. - Marisa potarła oczy.

Piekły ją ze zmęczenia i od dymu. Miała ochotę zakryć się kołdrą po czubek głowy i zapaść w sen, ale nie miała już ani kołdry, ani łóżka. Nie miała nawet ubrania na zmianę, nie miała szczoteczki do zębów. Nie miała nic.

- To wszystko moja wina. - Z oczu Annie znowu popłynęły łzy. - Wiedziałam, że z nim jest niedobrze, ale chciał być niezależny. Nie mogłam oddać go do domu opieki. Czuł się szczęśliwy w swoim mieszkaniu.

- Wyjaśnił, dlaczego to zrobił?

- Mówił od rzeczy. Coś o jakiejś obcej dziewczynie. Nie chciała powiedzieć, kim jest, więc uznał, że to kosmitka albo szpieg czy ktoś taki. Kiedy pojawiła się znowu dzisiaj wieczorem, wpadł w panikę. Twierdził, że chciał spalić „dokumentację”. Miał całe teczki wycinków prasowych i wydruków z Internetu. Uważał, że to bardzo ważne materiały.

Marisa spojrzała na Julię stojącą z Jakiem i Lucy na chodniku, rozmawiała z jednym z policjantów. Pan Kloppman wywołał pożar, bo uznał Julię za kosmitkę. Wspaniale. Kompletny absurd, ale Marisa nie miała siły śmiać się. Płakać też nie miała siły.

- Tak mi przykro - powtarzała Annie. - Cały pani dobytek. Pani śliczny sklep...

- To tylko dobra materialne - pocieszyła ją Marisa. - Można je zastąpić. Ludzi nie da się zastąpić. Najważniejsze, że nic się nikomu nie stało. Powinna pani jechać do szpitala, do ojca. Potrzebuje pani.

Annie pożegnała się i odeszła z ociąganiem. Marisa patrzyła za nią przez chwilę. Żal jej było dziewczyny. Pan Kloppman nie chciał wyrządzić nikomu krzywdy. Mieszkał u Marisy przez sześć lat, był dobrym, nawet zabawnym lokatorem. Teraz Annie będzie musiała oddać go do domu opieki, może nawet do szpitala psychiatrycznego.

Jake usiadł obok niej i objął ją ramieniem. Obydwoje cuchnęli spalenizną, byli brudni i mokrzy.

- Trzymasz się?

Nie, nie trzymała się. Była wyczerpana, przybita, bezdomna, ale pokiwała głową.

- Powinieneś chyba wracać do baru?

- Zadzwoń do Louisa i wyjaśnij sytuację. Nigdzie nie pójdę. - Objął ją mocniej. Przyszła pora na złą wiadomość.

- Rano przyjdzie tutaj inspektor budowlany. Kiedy stwierdzi, że można bezpiecznie wejść na górę, zabierzemy wszystko, co ocalało. Lucy dzwoniła już do twojej firmy ubezpieczeniowej, przyślą biegłego, który wyceni szkody.

- Strażacy mówili, jak to wygląda?

- Mieszkanie pana Kloppmana, korytarz i wszystko pod jego mieszkaniem jest doszczętnie wypalone, w tej części domu ogień dokonał największych zniszczeń. Twoja bawialnia ucierpiała już mniej, głównie od dymu i wody.

Marisa przetarła oczy i powstrzymała ziewnięcie.

Wozy strażackie odjechały, policja też, na chodniku pozostała jeszcze garstka gapiów.

Do Marisy i Jake'a przyłączyły się Lucy i Julia.

- Jak ona się czuje? - zapytała Julia Jake'a.

- Radzi sobie - odpowiedziała Marisa w trzeciej osobie. - Jest tylko trochę wyczerpana..

- Jedź ze mną do domu - zaproponowała Julia. - Zatrzymasz się u nas.

- Możesz na razie zamieszkać u mnie, jeśli chcesz - wtrąciła Lucy.

Zanim Marisa zdążyła cokolwiek powiedzieć, odezwał się Jake:

- Marisa zamieszka u mnie.

Tak? - chciała zapytać. Nie pamiętała, żeby cokolwiek ustalali, ale nie wyobrażała sobie, gdzie indziej miałyby się

schronić, gdzie czułaby się w miarę dobrze, nie skazana na cudzą łaskę.

- Nie ma sensu tu dłużej sterczeć - powiedział Jake.

- Idziemy do domu.

Do domu? Nie miała domu, ale nie miała też siły o tym mówić.

- Pomogę ci się jutro spakować - obiecała Lucy.

- Zadzwoń do mnie.

- Ja też pomogę. - Julia serdecznie uściskała Marisę. - Dzwon, jak tylko będziesz czegoś potrzebowała.

Marisa podziękowała, pożegnała się z dziewczynami i poszła z Jakiem na parking dwie przecznice dalej, gdzie stał jego dżip. Otworzył drzwi, posadził ją w fotelu, zapiał pas. Przez całą drogę milczała, nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa.

Jake mieszkał na drugim końcu miasta w zaadaptowanym na dom starym magazynie. Co prawda budynek wymagał remontu, ale miał swoje dobre strony. Było tu dużo przestrzeni i zespół mógł spokojnie odbywać próby, nikomu nie przeszkadzając.

Marisa zawsze uważała, że to idealne mieszkanie dla Jake'a, pasujące do jego osobowości i stylu życia: bezpretensjonalne, takie, w którym nie ma nic udawanego, nic nieszczerzego.

Nie licząc łazienki, była to jedna wielka otwarta przestrzeń, z parawanem oddzielającym część sypialną. Meble - każdy inny, ale wygodne i funkcjonalne. Większość z nich wybierali obydwój na ulicznych wyprzedazach, podczas których ludzie pozbywają się niepotrzebnych już w domu sprzętów.

Jake zamknął drzwi i zdjął buty.

- Możesz spać na moim łóżku, a ja na kanapie.

- Nie chcę cię wyrzucać z twojego łóżka. Ja będę spała na kanapie. I nie próbuj kłócić się ze mną - uprzedziła ewentualne próby dyskusji.

- Jesteś głodna? Marisa zrzuciła sandały.

- Nie, ale chciałabym się wykapać. I włożyć jakieś czyste ciuchy.

- Wszystko znajdziesz w łazience. W szafce powinna być zapasowa szczoteczka do zębów. Poszukam czegoś do ubrania i pościelę ci na kanapie.

Marisa zniknęła w łazience. Chciał jakoś jej pomóc, ale czuł się równie bezradny jak wtedy, kiedy pijany ojciec rzucał się na matkę. Raz stanął w jej obronie i tak oberwał od ojca, że wyszedł z potyczki ze złamanym zębem. Potem matka błagała go, żeby już nigdy nie próbował interweniować.

- Ja jestem wszystkiemu winna - tłumaczyła bez sensu. - Jest moim mężem, nie powinnam podnosić na niego głosu. Mężowi należy się szacunek.

- Mąż nie powinien podnosić ręki na żonę - prychnął Jake.

Matka objęła go wtedy serdecznie, co rzadko się zdarzało, bo ojciec nie tolerował w domu takich objawów czułości.

- On już taki jest, synku. Ma to we krwi. Zrozumiesz, jak dorośniesz.

Jake pokręcił głową.

- Nigdy w życiu nie uderzę kobiety.

- Mój ojciec bił moją matkę, jego ojciec robił to samo. To rodzinna klątwa. Nieżeń się, synku, bo będziesz taki sam jak oni.

Nie uwierzył. Dopiero kiedy Tommy, jego ubóstwiany brat, wpadł w poważne tarapaty, uznał, że matka miała jednak rację. Od tamtego czasu trwał w przekonaniu, że i jemu noga się powinie, jeśli nie będzie uważał. Krótko mówiąc, wziął sobie ostrzeżenia matki do serca.

Rozłożył kanapę, posłał, potem w koszu z czystym praniem znalazł T-shirt i szorty, które powinny pasować na Marisę.

- Mam ciuchy dla ciebie - zawołał, stając pod drzwiami łazienki.

- Wejdz! - odkrzyknęła.

Jake zawahał się. Marisa była z pewnością naga, mieli za sobą paskudny wieczór, ale on był przecież tylko człowiekiem. Wrzucił ubranie do łazienki i chciał dać nogę.

- Możesz wejść na moment? Zaklął pod nosem.

- Jasne.

Odetchnął z ulgą, widząc, że po samą brodę zanurzona jest w pełnej piany wannie.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się zakłopotany? Jake uśmiechnął się mimo woli.

- Dopóki piana nie opadnie, jesteśmy bezpieczni. A tak na marginesie, jak ją wyprodukowałaś? Nie pamiętam, żebym kupował płyn do kąpieli.

- Wlałam trochę szamponu. Efekt jest taki sam albo jeszcze lepszy. - Skrzywiła się z niesmakiem. - Dwa razy już myłam włosy i ciągle śmierdzą dymem.

Przyklęknął koło wanny i sięgnął po szampon. Wylał trochę na dłoń i zaczął wcierać we włosy Marisy.

- O, jak miło... - westchnęła i oparła głowę o brzeg wanny.

Teraz wystarczyło, żeby się nachylił i pocałował ją... Szybko odwrócił wzrok.

- Wiesz, że łamiemy zasadę numer... - zmarszczyła czoło - nie pamiętam dokładnie którą, bo lista została w moim mieszkaniu. W każdym razie zakładaliśmy, że nie będziemy u siebie nocować.

- To wyjątkowa sytuacja. Pojawiły się okoliczności łagodzące. Poza tym będziemy spać oddzielnie, więc to się nie Uczy. Wyprostuj się.

Marisa usiadła, podciągając kolana pod brodę, i Jake zaczął spłukiwać szampon z jej włosów. Zamknęła oczy, odchyliła głowę. Jej usta były tak blisko, wprost zapraszały do pocałunku...

Poczuł ból w lędźwiach.

- Będiesz tu mieszkała, zanim wyremontują twoje mieszkanie. - Był pewien, że wytrzyma. Na pewno wytrzyma. Po prostu będzie brał zimne prysznice.

Pierwszy powinien wziąć natychmiast.

- Nie, nie mogę ci dezorganizować życia. Firma ubezpieczeniowa zapłaci za hotel.

- Mowy nie ma. Nie chcę, żebyś Bóg wie jak długo przemieszkiwała w hotelu. Ćwiczyłem już to i nie pozwolę, żebyś tułała się po hotelach. Koniec, kropka. A szampon już spłukałem.

- Dzięki. - Spojrzała na niego i zmarszczyła nos.

- Wybacz, ale cuchniesz.

- Bardzo ci dziękuję. - Ochlapał ją wodą, uśmiechnął się, po czym wstał i wytarł ręce. Zrobiła się pierwsza w nocy i chociaż zwykle kładł się późno, był wykończony. Mieli za sobą naprawdę ciężki, wredny wieczór.

- Wezmę prysznic.

- Daj mi dwie minuty i łazienka jest twoja.

- Bez pośpiechu. - Wyszedł z łazienki, mając nadzieję, że Marisa nie zauważyła mimowolnej reakcji wrażliwego organu.

- Jake?

Ostrożnie wsunął głowę przez drzwi.

- Tak?

- Dziękuję za wszystko.

- Drobiazg - mruknął i było to chyba największe kłamstwo, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się wypowiedzieć.

Marisa leżała na kanapie i wsłuchiwała się w szum wody w łazience. Chociaż była nieludzko zmęczona, sen nie przychodził. Nocowała już wcześniej u Jake'a. Kiedy lakierowała parkiet w swoim mieszkaniu, spędziła u niego całe trzy dni i spała jak dziecko. Dlaczego dzisiaj nie mogła usnąć?

Jake musiał zakręcić wodę, bo szum ustał i po chwili usłyszała odgłos odciąganej zasłony. Minął jeszcze moment i Jake wyszedł z łazienki. W mdłym świetle wpadającym przez żaluzje widziała jego sylwetkę: przeszedł do sypialni, jeszcze skrzypnięcie materaca, szelest pościeli i w mieszkaniu zapadła cisza.

Zrobiło się aż nazbyt cicho.

Jake zachował się wspaniale tego wieczoru, proponując jej pomoc i opiekę. Zajął się nią tak serdecznie, że poczuła się znowu jak mała dziewczynka. Kiedy matka nie wracała na noc do domu, Marisa bała się. Jake zakradał się wtedy do jej pokoju przez okno, kładł się obok niej i brał ją w ramiona. Minęło tyle lat od tamtego czasu, a ona nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jej brakowało tamtych serdecznych gestów.

Odrzuciła kołdrę i wstała z kanapy. Jake leżał w łóżku przykryty do pasa, z rękami założonymi pod głowę. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że ma otwarte oczy.

- Nie możesz zasnąć? - zapytał.

Marisa pokręciła głową, a on odchylił kołdrę zapraszającym gestem. Nie musiała nic mówić: zrozumiał ją bez słowa.

Wsunęła się do łóżka i przytuliła do niego, położyła mu głowę na piersi. Pachniał mydłem.

- Czy łamiemy zasady? - zapytała sennym głosem.

- Nie. Dopóki jesteśmy ubrani, nie łamiemy zasad - powiedział, głaszcząc ją po głowie. - Zamknij oczy i spróbuj zasnąć.

Jego słowa sprawiły, że powieki, ciężkie jak z ołowiu, zamknęły się same. Była bezpieczna. W ramionach Jake'a nie groziło jej nic złego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marisa spojrzała na wielką dziurę w suficie magazynu: do wczoraj powyżej znajdowało się mieszkanie pana Kloppmana. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Straciła wszystko, co osiągnęła, wszystko, na co tak ciężko pracowała.

To chwilowa katastrofa, powtarzała sobie. Trochę wysiłku, starań, trochę czasu i jej życie powróci w dawne koleiny.

Część magazynu i dostęp do wypalonego mieszkania pana Kloppmana zabezpieczono żółtą taśmą. Do własnego mieszkania, choć też ucierpiało, mogła się dostać. Niewiele ocalało. Ogień udało się zdławić, zanim dotarł do kuchni, ale w żarze stopiły się wszystkie sprzęty i przedmioty z plastiku, sufity były czarne od sadzy. Ubrania, chociaż ogień ich nie strawił, cuchnęły spalenizną. Spakowała wszystko do foliowych worków i Julia zawiozła ubrania do pralni.

Lucy proponowała jej coś ze swojej garderoby, ale Marisa zdecydowała się zostać w T-shircie i szortach, które pożyczył jej Jake. Czuła się trochę jak nastolatka, która nakłada kurtkę swojego chłopaka, ale było to miłe uczucie, mieć na sobie coś, co należy do Jake'a. Próbowwała o tym nie myśleć, mówiła sobie, że to głupota. Nie była przecież smarkulą, nie miała na grzbiecie jego kurtki. Przede wszystkim Jake nie był jej chłopakiem.

Usłyszała jego kroki na schodach. Znosił właśnie na dół kolejne pudło z ocalałymi rzeczami. Klimatyzacja oczywiście nie działała, temperatura sięgała trzydziestu pięciu stopni i Jake, spocony od wysiłku, dawno już zdjął koszulkę. Kiedy tak targał kartony z ocalałym dobytkiem, przyglądała się jego napiętym muskułom i nie mogła oprzeć się myśli, jak dobrze i bezpiecznie czuła się w jego ramionach ostatniej nocy.

Pomimo tego, co zaszło poprzedniego wieczoru w zaułku, noc przespana w jednym łóżku nie obudziła w nich żadnych

seksualnych pokus. A przecież wieczorem patrzył na nią tak, jakby chciał połknąć ją żywcem. Potem potrafił się pohamować. Skoro tak, to ona też potrafi panować nad swoimi popędami.

I nie będzie się przyglądała jego muskułom.

W chwilę później zeszła Julia z kolejnym pudłem. Włosy dla wygody związała w koński ogon, była spocona i brudna od sadzy. Marisa pierwszy raz widziała ją w takim stanie, ale, o dziwo, Julii to nie szkodziło, przeciwnie, umorusana, potargana wydawała się bardziej ludzka, przestała być lalką i Marisa, ku własnemu zaskoczeniu, niejako wbrew sobie zaczynała ją lubić.

- Spakowałem już wszystkie naczynia - powiedział Jake. - Załaduję to pudło na furgonetkę i możemy jechać do magazynu.

- Wszystkie książki i albumy ze zdjęciami przeniosłam do szafy w sypialni. - Do Marisy podeszła Julia. - Chyba nie przeszły spalenizną, ale sama już nie wiem, bo przestałam cokolwiek czuć.

W innej sytuacji byłaby zakłopotana, że ktoś niemal obcy dotyka jej osobistych rzeczy, ale w tej chwili czuła tylko wdzięczność. Julia była ostatnią osobą, po której mogłaby się spodziewać pomocy. Dziewczyna naprawdę chciała się z nią zaprzyjaźnić. To, co robiła, nie wynikało z poczucia obowiązku.

- Dziękuję ci bardzo i jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziała Marisa.

- Rozmawiałam rano z twoim ojcem. Dzisiaj wieczorem wraca do Detroit. Boi się, że nie będziesz chciała przyjąć od niego pomocy, ale prosił, by ci powtórzyć, że jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała, możesz na niego liczyć.

- W poniedziałek dostanę pierwszy czek z firmy ubezpieczeniowej na bieżące wydatki, mają też znaleźć firmę,

która zajmie się remontem budynku. Ubezpieczenie pokrywa wszystkie straty.

- W każdym razie ojciec gotów jest ci pomóc, nie tylko finansowo.

Marisa jakoś nie mogła w to uwierzyć. Obawiała się, że to raczej inicjatywa Julii niż dobre intencje ojca. Ojciec, jeśli w ogóle jej pomagał, to tylko finansowo i tylko dlatego, że miał zasądzone alimenty.

- Będę o tym pamiętała - zapewniła, ale widziała po minie Julii, że teraz ona z kolei nie wierzy w jej słowa. Wołała nie wnikać w sprawę, zmieniła więc temat: - Pojedziesz z nami do Jake'a na pizzę? Przynajmniej tak się możemy odwdzięczyć za pomoc.

- Ktoś coś tu mówi o jedzeniu? - Na dole pojawiła się Lucy z kolejnym pudłem. - Z kuchni już wszystko zabrane.

- Dzięki, Lucy. - Marisa chciała odebrać od niej karton. - Zaniosę to do furgonetki.

Lucy zawahała się, zerknęła na Julię.

- Chciałam zamienić z tobą kilka słów. Julia w mig zrozumiała.

- Pozwól, ja to zaniosę - powiedziała, wyjmując pudło z rąk Lucy. - Pojadę z Jakiem do magazynu i pomogę mu wypakować to wszystko.

- O co chodzi? - zapytała Marisa, kiedy Julia odeszła.

Lucy wyjęła z kieszeni złożoną kartkę.

- Znalazłam to w szufladzie w kuchni. Marisa rozłożyła kartkę i zaczęła czytać:

- „Punkt pierwszy: absolutna szczerść. Drugi: kochać się tylko w czasie owulacji”.

Zamknęła oczy. Cholera.

- Pomyślałam, że możesz tego potrzebować - powiedziała Lucy z domyślnym uśmiechem. - Wygląda na ważny dokument.

- Mogę ci wszystko wyjaśnić - zapewniła Marisa trochę za szybko.

- Domyślałam się, że między wami coś jest - przyznała Lucy. - Nie potrafisz milczeć, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Marisie serce podeszło do gardła.

- Nie potrafię milczeć?

- Pamiętasz, jak któregoś popołudnia poszłaś się „zdrzemnąć”. Porządkowałam akurat wystawę i zobaczyłam Jake'a. Pomyślałam, że to trochę dziwne, że nie wszedł przez sklep, ale zaraz o tym zapomniałam. Potem usłyszałam, ehm... odgłosy. Marisa przygryzła wargę.

- Odgłosy?

- Twoja sypialnia jest bezpośrednio nad sklepem. Znasz te stare budynki i ich akustykę. Dźwięki przedostają się kanałami wentylacyjnymi, a ty wykrzykiwałaś jego imię.

- O Boże... - Marisa ukryła twarz w dłoniach. - Słyszałaś to?

- Podejrzewam, że cała okolica słyszała. Ponieważ nic mi nie mówiłaś, o nic nie pytałam. Pomyślałam, że to jakiś pojedynczy epizod i wolisz o tym nie wspominać. Potem próbowałam zwrócić ci uwagę, że Jake nie może oderwać od ciebie oczu, ale mnie wyśmiałaś. Zupełnie zapomniałam o dziecku. Dopiero kiedy zobaczyłam tę kartkę, wszystko zrozumiałam.

Marisa opuściła dłonie.

- Tak mi głupio.

- Niepotrzebnie. Jake musi być... hm... Gdybym miała kogoś, kto potrafiłby sprowokować mnie do takich okrzyków...

- Dość! - Marisa była czerwona jak piwonia. - Nie mówmy o tym, proszę.

Lucy zaśmiała się.

- Nie masz się czego wstydzić. To ludzkie. Wszyscy to robimy.

- Strasznie mi głupio - powtórzyła Marisa.

- Dlaczego? Obserwuję was od sześciu lat i cały czas się zastanawiałam, kiedy wreszcie wasza przyjaźń zamieni się w coś bardziej zmysłowego. I nie myśl sobie, że cię puszczę, dopóki nie usłyszę szczegółów.

Marisa, zrezygnowana, oparła się o ścianę. Czego właściwie się bała? Wiedziała przecież, że nic z tego, co powie, nie wyjdzie poza ściany pomieszczenia, w którym rozmawiały, dokładnie mówiąc poza to, co zostało z pomieszczenia.

W skrócie opowiedziała Lucy, na czym polega umowa, którą zawarła z Jakiem.

- A teraz z nim mieszkasz - westchnęła Lucy nie bez zazdrości. - Możecie sobie używać do woli.

- Nie pamiętasz, co mówi punkt drugi? Postanowiliśmy, że będziemy się kochać tylko w czasie owulacji.

- A po co od razu się kochać? Mam na myśli pieszczoty. W punkcie drugim nie wspominać o pieszczotach.

- To prawda, ale...

- Nie ma żadnego ale. Zajrzyj do słownika. Kochać się to tyle co odbywać stosunek. Pieszczoty to nie stosunek.

Lucy miała, oczywiście, rację.

Ich umowa dotyczyła „kochania się”. Jeśli nie będą się kochać, nie złamią przyjętych zasad.

- Co dalej? Jak już zajdziesz w ciążę? - dopytywała się Lucy. - Wszystko będzie jak dawniej? Wróćcie do układu przyjacielskiego?

- Taki mamy plan.

- Wygląda mi na to, że dobrze wam ze sobą. Wykorzystajcie ten czas.

I tym razem Lucy miała rację. Jeszcze dwa, trzy tygodnie i może się okazać, że Marisa jest w ciąży. Wszystko się skończy.

- Nie powiesz nic nikomu? O tym, że chcę zajść w ciążę. Chcemy utrzymać rzecz w tajemnicy.

- Nie powiem nikomu ani słowa.

Szczęknięły drzwi, weszła Julia i przyjaciółki przerwały rozmowę.

- Jake zaprasza nas do siebie. Pojedziemy do niego i zamówimy pizzę - oznajmiła Julia, wycierając sadzę z ramienia. - Najpierw chciałabym pojechać do domu i wziąć prysznic.

- Nie przejmuj się. - Lucy objęła Julia. - Wszyscy jesteśmy brudni i jednakowo śmierdzimy. Nie powinno nam to przeszkadzać. - Lucy spojrzała na Marisę i mrugnęła. - Gotowa?

Marisa po raz ostatni rozejrzała się po sklepie. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze raz będzie zaczynała wszystko od nowa, jak przed sześciu laty. Może los dawał jej znak, że pora na radykalne zmiany.

Jake rozparł się na kanapie, zrzucił nogą puste pudełko po pizzy ze stolika i oparł na nim stopy. Wszystkie ocalałe rzeczy Marisy udało się przewieźć do magazynu, tylko meble pozostawili fachowcom.

Ziewnął szeroko. Był wykończony, ale nie chciał kłaść się wcześniej niż Marisa, uznawszy, że byłoby to niegrzeczne. Mieszkanie z drugą osobą narzucało pewne zobowiązania, a on był samotnikiem z natury. Nawet w trasie starał się nie dzielić pokoju z żadnym z chłopców z zespołu. Cenił sobie prywatność.

Z Marisą było inaczej. Dobrze się czuł w jej towarzystwie. Mógłby nawet z nią zamieszkać na stałe, gdyby nie to, że seks, a właściwie brak seksu, doprowadzał go do szaleństwa.

Marisa wyszła z łazienki, pachnąca, wykąpana i opadła na kanapę obok niego.

- Masz ochotę obejrzeć film albo coś? „Albo coś”.

- Prawdę mówiąc, jestem wykończony. Położę się chyba.

Położyła mu dłoń na udzie i zaczęła kreślić palcem kółka.

- Dopiero wpół do jedenastej. Nigdy nie kładziesz się przed pierwszą.

Jake przełknął z wysiłkiem ślinę. Gdyby nie znał Marisy tak dobrze, gotów byłby pomyśleć, że próbuje go uwieść. Zacisnął zęby. Powinien czym prędzej wstać z tej cholernej kanapy, ale wtedy musiałby odłożyć poduszkę, którą rozpaczliwie przyciskał do lędźwi, i Marisa zauważyłaby, co się z nim dzieje.

- Jesteś dzisiaj jakiś wyjątkowo milczący. - Jej dłoń wędrowała coraz wyżej po udzie.

Chyba powinni ustalić dodatkowe zasady na czas wspólnego mieszkania...

- Ja... nie mogę się opanować... - wykrztusił w końcu, ujął jej dłoń i zdjął bardzo delikatnie ze swojego uda. - Lepiej żebyś mnie teraz nie dotykała.

Spojrzała na niego tymi swoimi niewinnymi, brązowymi oczami.

- Jesteś podniecony?

Jezu, czuł się jak jakiś zboczeniec.

- To nie twoja wina. To znaczy... w pewnym sensie twoja, ale... - Wzruszył bezradnie ramionami. - Jestem tylko facetem.

- Niech sprawdzę.

- Chcesz sprawdzać? Marisa, nie...

Zanim zdążył ją powstrzymać, wyszarpnęła mu z rąk poduszkę i zrobiła wielkie oczy.

- Ooo! Chyba rzeczywiście jesteś.

Myślał, że się oburzy, że zerwie się z kanapy, ale ona się uśmiechnęła.

- Niesamowite, że zwykłe dotknięcie może tak zadziałać.
- Chcesz powiedzieć, że zrobiłaś to specjalnie?
- Wiesz, Jake, jak na kogoś tak inteligentnego czasami jesteś okropnie ograniczony. - Nachyliła się i pocałowała go w brzuch tuż nad paskiem spodni.

- Co ty robisz? - wydyszał, zaciskając z całych sił dłoń na podłokietniku. Nie miał dość siły woli, żeby odepchnąć Marisę. - Ustaliliśmy przecież zasady.

- Żadna z nich nie mówi, że nie mogę cię pocałować.
- To prawda, ale ustaliliśmy, że będziemy się kochać tylko w czasie twojej owulacji.

Pocałowała go poniżej pępka i zaczęła rozpinąć spodnie Jake'a.

- A kto powiedział, że mamy się kochać?

Jake'a oblała fala gorąca. Jeśli Marisa nie chce się kochać, to co zamierza? Myśl, Jake. Myśl. Powiedzieli sobie, że nic będą się do siebie zbliżać, nie będą się dotykać... Tymczasem Marisa wyraźnie go uwodzi. To do niej niepodobne.

- Przed tobą jeszcze dwa tygodnie abstynencji, tak? - zaczęła wyjaśniać cierpliwie. Jake skinął głową. - Chcę ci sprawić rozkosz. Nasza umowa tego nie zabrania. Nie będziemy się kochać. Dzisiaj, kiedy pakowaliście moje rzeczy, zdałam sobie sprawę, jak szybko wszystko się zmienia. Życie jest zbyt krótkie, żebyśmy zabraniali sobie z niego korzystać. Niedługo zajdę w ciążę. Cieszymy się sobą, dopóki możemy.

Trudno było dyskutować z tak racjonalnymi argumentami, szczególnie że Marisa klęczała już na podłodze i ściągała powoli Jake'owi spodnie z bioder...

I właśnie w tej chwili rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

Marisa zerwała się na równe nogi.

- Prawie jedenasta. Kto to może być? Jake wstał i podciągnął spodnie.

- Skąd mogę wiedzieć.

- Nie umawiałeś się z nikim?

- Nie, Idę zobaczyć, kto to, ale klnę się, że nie wpuszczę nikogo, chyba że to posłaniec z informacją, że wygrałem właśnie milion na loterii.

Podszedł do drzwi, zerknął przez wizjer i jęknął głośno.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Mariso, nie uwierzysz. To twój ojciec.

- Mój ojciec? Co mu się stało, że postanowił złożyć wizytę?

Obydwoje byli półnaczy. Jake w samych spodniach, ona w T-shircie i majtkach. Zdjęła koszulkę, rzuciła ją Jake'owi, sama pobiegła do części sypialnej, by poszukać w panice czegoś do ubrania. Chwyciła z szafy pierwszą rzecz, która wpadła jej w ręce, hawajską wzorzystą koszulę. Dopiero teraz przypomniała sobie, że stanik zostawiła w łazience. Przepadło, już nie mogła po niego pobiec. Jake otworzył drzwi, usłyszała przytłumione głosy obu panów.

Nie mogła włożyć spodni Jake'a. W szufladach komody były majtki i bokserki, to wszystko.

- Mariso! - zawołał Jake. - Masz gościa.

- Idę już. Idę! - odkrzyknęła, decydując się na czarne bokserki.

Wiedziała, że wygląda idiotycznie, ale nie mogła tego sprawdzić, bo Jake, oczywiście, nie posiadał lustra. Zresztą bez lustra wiedziała, co Joseph sobie pomyśli. Spojrzy na nią i uzna, że jest taka jak jej matka.

Jesteś dorosła, co cię obchodzi, co on sobie pomyśli, zrugła się w duchu.

Kiedy wyłoniła się zza parawanu, panowie stali przy drzwiach. Jake w stroju mocno niezobowiązującym, ze zmierzwioną czupryną, Joseph nieskazitelnie elegancki, w garniturze z ciemnoszarego tenisu. Bardziej nie mogli od siebie odstawać, ale obaj z jednakową ulgą przyjęli pojawienie się Marisy.

- Cześć, Joseph - powiedziała, a tatuś zmierzył ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów, po czym lekko uniośł brew. Większość dnia musiał spędzić w podróży, ale na jego ubraniu nie było jednej fałdki. Nieludzkie.

- Zostawię was samych - mruknął Jake i ruszył w stronę sypialni. - Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zawołaj mnie.

- Przed chwilą wróciłem - odezwał się Joseph, kiedy Jake zniknął. - Jechałem do domu, ale Julia uznała, że powinienem najpierw zajrzeć do ciebie.

Dzięki, Julio. Marisa utwierdziła się w przekonaniu, że tych dwoje jednak świetnie pasuje do siebie. W każdym razie jedno łączyło ich na pewno: fatalne wyczucie czasu.

- To miła dziewczyna - powiedziała Marisa. - Mam nadzieję, że wytrwasz w tym małżeństwie dłużej niż w poprzednich.

- Nie musisz udawać, że aprobujesz mój wybór. Dla ciebie nic nie muszę, pomyślała ze złością.

- Nie udaję - powiedziała głośno. - Naprawdę ją polubiłam.

- Miło mi to słyszeć, bo właśnie ustaliliśmy, że powinnaś zamieszkać z nami, dopóki nie wyremontują twojego mieszkania. Tak nakazywałyby przyzwoitość.

- Przyzwoitość? - Musiało minąć kilka sekund, zanim do Marisy dotarło znaczenie tego określenia. - Rozumiem. Panna Donato prowadzi się „nieprzyzwoicie”, jak jej matka, tak?

- Mariso...

- Mieszkasz z dziewczyną, która pewnie nie skończyła dwudziestu lat, i masz czelność osądzać mnie?

- Julia jest moją narzeczoną.

- A Jake jest moim najlepszym przyjacielem i nie ma żadnego znaczenia, że jest facetem. Gdyby był wziętym prawnikiem, a nie prostym muzykiem, pewnie nie przeszkadzałoby ci, że mieszkam u niego.

- Chciałem tylko powiedzieć, że w takiej chwili powinnaś być z rodziną. - Joseph westchnął ciężko, twarz mu złagodniała. - Nie przyszedłem tutaj kłócić się z tobą.

- Ja też nie chcę się kłócić. - Joseph nie był jej wrogiem. Był nikim.

- Matka odzywała się do ciebie?

Joseph potrafił z zaskakującą łatwością zmieniać temat.

- Dostałam od niej kartkę na Boże Narodzenie. Mieszka na Florydzie z jakimś Hankiem.

- Nie wie o pożarze?

- Nie wie i nie musi wiedzieć. Gdybym spłonęła żywcem i mieli jej wypłacić polisę, może by ją to obeszło.

Joseph spuścił głowę, wbił wzrok w podłogę.

- Przykro mi, że była taką matką.

- W ogóle nie była żadną matką.

- Mariso...

- Nie potrzebuję twojego współczucia. Dawno pogodziłam się z myślą, że mam rodziców, których nic nie obchodzi, więc możesz spokojnie wracać do domu i przestać udawać, że troszczysz się o mój los.

Joseph zrobił taką minę, jakby zabolęły go słowa Marisy.

- Nigdy nie dopuszczałaś mnie do siebie.

- A więc twój kompletny brak zainteresowania mną i moimi uczuciami to moja wina, tak?

Wyprostował się, wypiął pierś.

- Nigdy nie zaniedbywałem swoich ojcowskich obowiązków.

- Owszem, przysyłałeś czeki. - Marisa bała się, że lada chwila się rozpłacze. - Czeki nie czytają bajek na dobranoc i nie układają dziecka do snu. Czeki nie gratulują ci, kiedy kończysz rok szkolny z samymi piątkami na świadectwie. Czeki nie zajmują się tobą, kiedy matka włóczy się Bóg wie gdzie po nocach. Jake się mną opiekował. On jest moją rodziną i tu jest moje miejsce.

Joseph zrobił krok w stronę drzwi.

- Pójdę już.

Typowe. Kiedy rozmowa stawała się niewygodna dla niego, uciekał. Za nic nie przyznałby się, że popełnił w życiu kilka zasadniczych błędów.

- Szkoda. Moglibyśmy usiąść i powspominać stare dobre czasy. Kłopot w tym, że nie mamy co wspominać.

- Mam nadzieję, że będziesz na ślubie. To bardzo ważne dla Julii.

Dla Julii, ale nie dla ciebie, pomyślała.

- Obiecałam Julii, że przyjdę.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń. - Otworzył drzwi i zatrzymał się jeszcze w progu.

Marisa przez ułamek sekundy miała nadzieję, że ojciec powie: „kocham cię”. Nic nie powiedział. Zniknął bez słowa w ciemnościach.

Zasunęła ze złością zasuwę. Po każdym spotkaniu z ojcem czuła się tak, jakby właśnie stoczyła ciężką walkę: z jednej strony miała ochotę płakać, z drugiej walić pięścią w ścianę. Albo wmawiać sobie, że nic się nie stało, że ma normalnych rodziców.

Zaczęła rozkładać pościel, kiedy przypomniała sobie o Jake'u.

Leżał w łóżku z książką w ręku. Na widok Marisy przerwał czytanie.

- A więc jestem prostym muzykiem? Uśmiechnęła się zażenowana.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Mogę być prostym muzykiem. - Zaprosił ją gestem, żeby położyła się obok niego, a kiedy wsunęła się pod kołdrę, odgarnął miękko włosy z jej czoła,

- Wszystko słyszałeś?

- Tak. Niezbyt udana rozmowa.

- Powiedziałabym, że zupełnie nieudana. Po prostu nie jesteśmy w stanie się dogadać.

- Żadne z was nie starało się jakoś szczególnie. Marisa ukryła twarz w poduszce.

- Tylko nie rób mi wykładu, dobrze? Nie jestem w nastroju. Przyszłam tylko powiedzieć ci dobranoc i znikam. Będę spała na kanapie.

- W porządku.

Zrobiło się jej trochę przykro, że Jake nie zaprotestował, ale w głębi duszy wiedziała, że tak będzie lepiej.

Poszła do łazienki, połknęła dwie aspiryny, bo rozmowa z ojcem przyprawiła ją o ból głowy, umyła zęby, po czym wróciła do pokoju, posłała kanapę i zrobiło się jej smutno i nieswojo na widok zimnej pościeli.

Boso, na palcach, przeszła do części sypialnej i wsunęła się cichutko pod kołdrę, starając się nie dotykać Jake'a. Oddychał równo, spokojnie, ale kiedy się ułożyła, wtulił twarz w jej włosy i objął ją w pasie.

- Miałem nadzieję, że wrócisz - szepnął ledwie słyszalnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- To zasada numer trzy.

Jake napełnił kubek kawą i podsunął Marisie.

- Nie, zasada numer dwa.

- Popatrz. - Odwróciła listę tak, żeby mógł widzieć. - Spędziliśmy ze sobą noc. Kochaliśmy się. Nie miałam owulacji, więc złamaliśmy zasadę drugą i działo się to w twoim mieszkaniu, co oznacza złamanie zasady trzeciej.

- Zgadza się. - Jake podrapał się po brodzie. - Ale trzecia się nie liczy. Nie możemy już kochać się u ciebie. Musimy zmienić tę zasadę. Teraz będziemy się kochać tylko tutaj.

Marisa podparła głowę dłońmi.

- Nie możemy ciągle zmieniać zasad. Jake uniósł brwi.

- I to mówi kobieta, która wczoraj chciała mnie uwieść na kanapie?

- To było co innego. Nie zamierzałam się kochać z tobą. - Minionej nocy jednak się kochali, w pełnym znaczeniu tego słowa, i teraz Marisa panikowała. „Kocham cię jak przyjaciela”. Miłość. „Kocham kochać się z tobą”. Miłość. Może zawsze czuła do niego taką właśnie miłość i dopiero teraz to sobie uświadomiła?

Ostatniej nocy otworzyła przed nim serce. Pamiętała każdą chwilę, pamiętała, co szeptała. Mogła mieć tylko nadzieję, że Jake uznał jej bełkot za przejaw chwilowej niepoczytalności.

- Co my tu jeszcze mamy? - Przysunął sobie listę. - Punkt pierwszy: absolutna szczerłość. Z tym nie będzie problemów. Żadne z nas nie złamie tej zasady. Nigdy się nie okłamywaliśmy. Punkt piąty: nie sypiać z nikim innym. Nie mam zamiaru. A ty?

- Oczywiście, że nie.

- Punkt siódmy: żadnego samozaspokajania. - Uśmiechnął się szeroko. - To odnosi się tylko do mnie.

- Nie patrz tak na mnie i nie śmiej się. Jestem na ciebie wściekła za to, co się stało.

Jake położył dłoń na sercu.

- Ty jesteś wściekła na mnie? Mariso, przecież to ty zaczęłaś.

- Ja spałam!

- Tuliłaś się do mnie i szeptałaś: „pieść mnie, Jake”, „kochaj się ze mną, Jake”. Jak miałem się zachować?

Zapomniałaś dodać: „kocham cię, Jake”, pomyślała ponuro. Może jednak nie usłyszał, a może wolał nie słyszeć.

- Nieważne, kto zawinił, więcej nie możemy dopuścić do czegoś podobnego.

- Miło mi spać z tobą w jednym łóżku, ale od dzisiaj będziemy sypiać osobno. Najwyraźniej nie odpowiadamy za nasze czyny.

Poczuła okropne rozczarowanie, ale nie próbowała dyskutować z jego racjami. Znajdzie w ciążę i nie będą już dzielić łóżka. Mogą równie dobrze podjąć decyzję już teraz.

- Masz rację.

- I będziemy trzymać ręce przy sobie aż do chwili, kiedy zacznie się następna owulacja. Okazuje się, że bardzo łatwo przekroczyć wyznaczoną linię.

Chciał ograniczyć ich zbliżenia do jednego, dwóch w miesiącu? Nie tylko nie kochał jej, w ogóle nie miał dla niej żadnych uczuć, a ona tworzyła sobie jakieś fałszywe konstrukcje, wyobrażała sobie, że Jake jej pragnie. Uwodziła go na kanapie, potem w łóżku, a on pewnie w ogóle jej nie chciał, kochał się z nią wyłącznie z litości.

Albo jeszcze gorzej: wysłuchiwał jej nocnych zwierzeń i teraz dawał jej do zrozumienia, że nie jest zainteresowany.

Śniadanie stanęło jej w gardle.

- Jestem gotów czekać dwa tygodnie, do owulacji - oznajmił i otworzył gazetę. - Zapomniałbym. Kiedy brałaś

prysznic, dzwoniła Julia. Wpadnie tu dzisiaj rano. Mówiła coś o ubraniach dla ciebie.

Nie miała ochoty widzieć się z Julią. Szczęśliwej, ożywionej Julii, która na pewno natychmiast wyczuje jej przygnębienie. Szczęśliwi ludzie natychmiast wyczuwają u innych zły nastrój, mają jakiś szczególny rodzaj radaru. Julia, oczywiście, będzie chciała ją pocieszać, a ona nie chciała żadnych pocieszeń. Najchętniej weszłaby z powrotem pod kołdrę i popłakała sobie nad swoim smutnym losem.

Jak na zawołanie odezwało się pukanie do drzwi. Marisa odstawiła kawę.

- To pewnie ona. Otworzę.

Najpierw zobaczyła całą stertę foliowych worków.

- Przepraszam - wysapała Julia, wciskając jej ubrania. - Chyba za dużo wzięłam na raz.

- To wszystko moje? Tak szybko wyprali?

- Jestem ich stałą klientką. Prosiłam, żeby się pospieszyli.

- Zerknęła w stronę Jake'a. - Cześć, Jake.

Jake odłożył gazetę i uśmiechnął się.

- Cześć. Zostało coś jeszcze w samochodzie? Przyniosę.

Julia podała mu kluczyki.

- Na ulicy przed domem stoi moje czerwone bmw. On jest taki miły - dodała, kiedy Jake wyszedł.

- Owszem - zgodziła się Marisa bez entuzjazmu. - Ile ci jestem winna za pralnię?

- Nic mi nie jesteś winna. Biorę to na siebie.

- Julio, ubezpieczenie...

- Pozwól. Chciałam coś zrobić dla ciebie. Przynajmniej tyle. To dla mnie ważne.

Julia zrobiła taką minę, jakby miała zaraz się rozplakać, więc Marisa już nie nalegała.

W porządku, zostawmy sprawę rachunku.

- Formalnie będę twoją macochą, ale chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami.

Marisa prychnęła. Nie mogła się powstrzymać przed tą niezbyt zachęcającą reakcją.

- Byłabyś pierwsza. Z poprzednich żon żadna długo nie zagrzała miejsca przy boku ojca. Nie miałam okazji zbliżyć się do żadnej z nich.

Julii najwyraźniej zrobiło się przykro.

- Z nami jest inaczej.

Jasne. Tamte na pewno też tak myślały.

- Obyś miała rację, Bardzo wam tego życzę.

- Wiem, co ludzie sobie myślą. Widzę, jak na mnie patrzą. Wszyscy są przekonani, że wychodzę za niego dla pieniędzy.

- A nie jest tak? - Marisa ugryzła się w język.

- Nie. - Julia usiadła na stołku przy blacie kuchennym. - Mam więcej pieniędzy niż on.

- Tak?

- Kochałam się w twoim ojcu, od kiedy pamiętam. Od dziecka.

Czyli od niedawna, pomyślała Marisa.

- Kiedy mój ojciec zmarł, Joey się nami opiekował. Zabierał nas do kina, na kolacje, jeździł z nami na wakacje. Naprawdę o nas dbał.

Marisa poczuła ukłucie zazdrości. Dla niej, dla rodzonej córki, nigdy nie miał czasu, ale zajął się rodziną obcego człowieka. W tej chwili nie miało to już żadnego znaczenia. Nie powinna wracać do przeszłości.

- Wszyscy myśleli, że ożeni się z moją mamą - ciągnęła Julia - ale oni tylko się przyjaźnili. Mama chyba się domyślała, że się w nimkocham, i widziała, że on też coś do mnie czuje. Długo walczył ze sobą, ale kiedy skończyłam studia...

- Chwileczkę, ty zdążyłaś już skończyć studia?

- Dwa lata temu. Zrobiłam magisterium z historii sztuki w Princeton i prowadzę galerię na Bloomfield Hills.

Marisa przysiadła z wrażenia.

Julia skończyła Princeton? Jeden z najlepszych, najbardziej ekskluzywnych uniwersytetów w Stanach? Widocznie nie była taka głupia, jak się jej początkowo wydawało. Zaczynała podejrzewać, że źle oceniła swoją przyszłą macochę.

- Wyglądasz... tak młodo. Julia zaśmiała się.

- Teraz, kiedy jestem zaręczona z tyle starszym ode mnie człowiekiem, to prawdziwe przekleństwo, ale pomyśl, ile w przyszłości oszczędzę na liftingach.

- Ile właściwie masz lat?

- Jestem tylko rok młodsza od ciebie. Jesteśmy prawie w tym samym wieku i może dlatego zawsze czułam więź z tobą. Kiedy oglądałam twoje zdjęcia, które ma Joseph, i różne twoje rzeczy...

- Jakie zdjęcia?

- Szkolne fotografie i zdjęcia, kiedy byłaś malutka. Zawsze pokazywał je wszystkim z taką dumą, że byłam trochę zazdrosna.

Marisa poczuła ucisk w gardle.

- Był ze mnie dumny?

- Zawsze opowiadał, jak dobrze ci idzie w szkole, jaka jesteś zdolna. Nosił w portfelu rysunki, które rysowałaś, i opinie ze szkoły.

Marisa rzeczywiście wysyłała mu swoje rysunki, szkolne opinie, oficjalne pochwały... Upiła łyk kawy, ale ucisk w gardle nie mijał.

- Zawsze chciałam cię poznać - ciągnęła Julia - ale on tłumaczył, że twoja matka nie pozwalała mu widywać się z tobą. Nie chciał być złym ojcem.

- Proszę, nie próbuj go tłumaczyć, to nic nie zmieni.
- Uważam, że powinniście się pogodzić, wyjaśnić wzajemne urazy, zbudować zdrowe relacje rodzinne.

Bełkot terapeutów. Akurat tego jej było trzeba.

- Niech zgadnę. Robiłaś fakultet z psychologii, tak?
- Mam licencjat z psychologii. Marisa omal nie upuściła kubka.

- Masz dwa dyplomy?
- Zaczęłam studia, mając szesnaście lat.
- Zaskakująca z ciebie osoba.
- Nie chcę imponować ci swoim wykształceniem. Naprawdę mi zależy, żeby między wami wreszcie się ułożyło.

- Wierzę i doceniam twoje starania, ale nie sądzę, żeby ci się udało. Nigdy nie porozumiem się z Josephem.

- Musisz spróbować. To bardzo ważne, żebyś należała do rodziny.

- Dlaczego to takie ważne?

- Bo niedługo zostaniesz siostrą.

Marisa go kochała.

Co prawda, mówiła przez sen, że go kocha, a to się nie liczyło, przynajmniej w jego pojęciu. Ludzie mówią różne rzeczy przez sen. Potem się budzą.

Nieważne, czy tak było, czy nie. To on śnił, jeśli sądził, że zasługuje na jej miłość, jeśli myślał, że potrafi uszczęśliwić Marisę i dziecko.

Tyle lat ją uwielbiał. A teraz wydawało mu się, że jak tylko Marisa zajdzie w ciążę, o wszystkim będzie potrafił zapomnieć, wymazać to uwielbienie z serca. Uwielbienie, też coś. Kochał ją. Od czasów szkoły podstawowej był w niej beznadziejnie zakochany.

Otworzył bagażnik samochodu Julii i wyjął resztę worków z pralni. Powinien czymś się koniecznie zająć i trzymać się jak najdalej od Marisy. Najchętniej zaproponowałby jej, żeby

przeniosła się do ojca i Julii, ale zaprosił ją do siebie i teraz nie mógł się wycofać. Im dłużej będą przebywać ze sobą, tym trudniej mu będzie przestrzegać zasad.

Pójść z nią kilka razy do łóżka, a potem o wszystkim zapomnieć. Rzeczywiście!

Miał ochotę kupić paczkę papierosów, pomogłyby mu w tej chwili, powstrzymał się jednak. Nie chciał jeszcze raz przechodzić przez mękę rzucania palenia.

Zerwał się gwałtowny wiatr, niebo pociemniało. Zanosiło się na potężną ulewę. W sam raz pogoda harmonizująca z jego nastrojem.

Przytrzymując worki, otworzył sobie drzwi łokciem. Z kuchni dochodziły głosy Marisy i Julii.

- Tak mi przykro - mówiła Marisa. Klęczała na podłodze nad kałużą kawy i skorupami kubka. - Mam nadzieję, że da się to sprząć.

Julia siedziała na stołku i próbowała usunąć ściereczką plamę z białych spodni.

- Nic się nie stało. Powinam była cię przygotować, a ja wypaliłam bez uprzedzenia.

Marisa podniosła głowę.

- Cokolwiek byś powiedziała i tak byś mnie zaskoczyła.

Jake rzucił worki na kanapę.

- Co się stało?

- Stłukłam ci kubek - powiedziała Marisa. - Julia właśnie mi oznajmiła, że zostanę siostrą.

- Naprawdę? Gratulacje. - Spojrzał na Julię, a potem na Marisę. - Pomóc ci?

- Nie, nie trzeba. - Wytarła podłogę papierowym ręcznikiem, zebrała skorupy i wrzuciła wszystko do kosza.

Zapadło niezręczne milczenie. Julia podniosła się.

- Chyba już pójdę.

Marisa położyła jej dłoń na ramieniu.

- Julio...

- Nie musisz nic mówić. Nie oczekuję, że ot tak, po prostu mnie zaakceptujesz. Wiem, że muszę zapracować na twoje zaufanie, jestem na to przygotowana.

Marisa odprowadziła ją do drzwi.

- Dziękuję, że przywiozłaś moje rzeczy. I jeszcze raz gratuluję. Bardzo się cieszę.

Zamknęła drzwi za Julią, ciężko się o nie oparła i wypuściła powietrze z płuc.

- Jak grom z jasnego nieba. Jake podszedł do niej niepewnie.

- Dobrze się czujesz? Pewnie jesteś trochę rozbita?

- Trochę? Jake, jestem tak okropnie rozbita, że nie wiem, jak mam się pozbierać.

- Może powinnaś...

- Co on sobie myśli? Jak może chcieć drugiego dziecka, kiedy nie potrafił zająć się pierwszym? Biedne maleństwo. - Mówiła coraz głośniejszym głosem, już niemal krzyczała. - Wyrośnie bez ojca, jak ja! Joseph znudzi się Julią i zostawi ją z dzieckiem! Jak on śmie decydować się na dziecko?!

Jake wiedział, że powie nie to, co powinien, ale nie mógł się powstrzymać:

- A ty nie robisz tego samego? Twoje dziecko też nie będzie miało ojca.

Spojrzała na niego tak, jakby uderzył ją w twarz. Próbował się wycofać czym prędzej.

- Nie mówię, że źle postępujesz. Gdybym nie miał pewności, że będziesz wspaniałą matką, nigdy nie zgodziłbym się na naszą umowę. Wierzę w ciebie, ufam ci w stu procentach. Jeśli Joseph zawiedzie, to wcale nie znaczy, że Julia nie da sobie rady. Poza tym z góry zakładasz, że on zawiedzie. Po prostu nie możesz znieść myśli, że on niekoniecznie musi zawieść.

- Julia chce, żebym się z nim pogodziła,
- Może powinnaś spróbować?
- Próbowałam przez całe lata, ale on mnie nie zauważał.
To boli. Nie chcę przeżywać od nowa starych rozczarowań. -
Łzy napływały jej do oczu. - Zresztą nie tylko o to chodzi...

- Zazdrościsz Julii, że jest w ciąży.

Marisa pokiwała głową. Wielkie łzy spływały jej po policzkach i kapały na koszulę.

- To nie fair - szepnęła. - A jeśli w ogóle nie znajdę w ciąży?

Przysiągł sobie, że jej nie dotknie, ale nie mógł stać spokojnie i przyglądać się, jak płacze. Podeszedł i wziął ją w ramiona.

- Uda nam się. Nawet jeśli miałyby to trwać długo, w końcu nam się uda.

A on będzie się cieszył każdą sekundą tych ich prób i starań.

Marisa chlipnęła i objęła go w pasie.

- Nie zasługuję na ciebie, Jake.

Miała rację, zasługiwała na kogoś znacznie lepszego, ale na razie była skazana na niego. Za plecami Jake'a odezwał się telefon. Marisa podniosła głowę.

- Odbierzesz?

Jake z ociąganiem wypuścił ją z objęć. Było mu trudno, ciężko, ale dla dobra ich obojga powinien zachować dystans.

Chwycił leżący na blacie kuchennym telefon bezprzewodowy.

- Słucham.

- Jake, tu Louis. Musisz przyjechać do studia. Natychmiast.

- Co się stało?

- Wygląda na to, że Aaron oszalał.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jake patrzył na porwane taśmy, zniszczony sprzęt i nie czuł nic poza odrętwieniem, chociaż powinien wpaść w rozpacz. Przepadł dorobek jego życia.

- Nikt nie mógł go powstrzymać?

Tank, potężny chłop, skurczył się jeszcze bardziej, jak smagnięty pytaniem.

- Wyszedłem na śniadanie. Nie było mnie może dwadzieścia minut. W budynku nie było nikogo, wszystko pozamykane. Pomyślałem... - Wzruszył bezradnie ramionami.

Pomyślał, że może wyjść spokojnie na dwadzieścia minut i nic się nie stanie. Nie mógł przypuszczać, że Aaron włamie się do studia o ósmej rano. Wszyscy znali zwyczaj Tank: przychodził do pracy o brzasku i potem zwykle na chwilę wychodził na śniadanie. Aaron wykorzystał tę chwilę.

- Nie wiem, co powiedzieć, jak się wytłumaczyć, - Tank był zdruzgotany.

- Nic nie mów. Trzeba wezwać policję.

- Ja tego tak nie zostawię - warknął Louis. - Widziałeś, co zrobił z moim sprzętem. Dorwę tego sukin...

- Nie - przerwał mu Jake. - Żadnych samosądów. Sprawą zajmie się policja. Wyposażenie studia jest ubezpieczone, odzyskasz pieniądze za sprzęt.

- I co dalej? - zapytał Louis. - Zaczniemy nagrywać płytę od początku?

- Nie. - Włożyli w przygotowanie płyty setki godzin pracy, tysiące dolarów. Jake czekał, kiedy ogarnie go furia, kiedy walnie pięścią w ścianę, ale nic takiego się nie stało. W dalszym ciągu nie czuł nic poza odrętwieniem.

- Co znaczy „nie”? - odezwała się Marisa. - Nie pozwolę, żebyś się poddał.

Od chwili kiedy weszli do studia, w ogóle się nie odzywała. Niemal zapomniał o jej obecności. Odwrócił się do

niej i zobaczył, że jest wściekła: policzki jej płonęły, zacisnęła z całych sił dłoń, miała zmrużone groźnie oczy.

Wyglądało na to, że prędzej ona wybuchnie niż on.

- Nie mam wyboru, przynajmniej w tej chwili. Nie mam pieniędzy, żeby zaczynać nagranie od początku.

- Musisz znaleźć pieniądze.

- To wymaga czasu, a ja...

- Dam ci swoje oszczędności. To, co odkładałam na dziecko.

Louis i Tank wymienili zdziwione spojrzenia. Jake'a jakby ktoś dźgnał.

- Mariso...

- To może trwać lata, zanim znajdę w ciążę. Potraktuj to jako inwestycję w przyszłość dziecka.

- Może powinniśmy, ehm, zostawić was samych - powiedział Tank, wycofując się ku drzwiom i ciągnąc Louisa za rękaw.

- No to mamy punkt szósty - odezwał się Jake, kiedy chłopcy zniknęli.

Marisa pokręciła głową.

- Zapomnij o tym głupim punkcie i nie próbuj nawet odmawiać. Weźmiesz moje pieniądze.

Jake nachylił się i zaczął zbierać z podłogi porwane taśmy. Nic się nie dało uratować. Wszystko przepadło.

Powinien w tej chwili coś czuć: wściekłość, żal, wstręt - cokolwiek. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego Marisa tak spokojnie się przyglądała, kiedy pakowali resztki jej dobytku po pożarze. Wściekłość w niczym by mu nie ulżyła, czułby się prawdopodobnie jeszcze gorzej.

- Ja nie żartuję, Jake - obstawała przy swoim. - Chcę, żebyś wziął moje pieniądze.

- Nie przyjmę ich.

- Nie powstrzymasz mnie. Jeśli będzie trzeba, wykradnę ci numer konta i zrobię przelew.

- A ja zainwestuję je w płytę? Dla dobra dziecka? Wziął kosz ze zniszczonymi taśmami i wyszedł na zewnątrz, gdzie stał kontener na śmieci. Marisa ruszyła za nim.

- Dlaczego jesteś taki uparty?

- Pewnie zaraziłem się od ciebie - mruknął. - Poza tym nie jestem uparty, tylko praktyczny.

- Jesteś głupi.

Odwrócił się do niej z ciężkim westchnieniem.

- Nawet gdybym nagrał jeszcze raz tę płytę, nie mam żadnej gwarancji, czy dobrze się sprzeda. Może okazać się totalną klapą i nie odzyskam zainwestowanych pieniędzy. Twój doradca finansowy powie ci...

- Nie mam doradcy finansowego.

Chciał wrócić do środka, ale Marisa stanęła w drzwiach, blokując przejście.

- Gdybyś miała, usłyszałabyś, że to ryzykowna inwestycja.

- Zamierzam zaryzykować.

- Ja nie. - Od dawna zbierało się na deszcz i wreszcie lunęło jak z cebra, ale Marisa nawet nie drgnęła. - Może skończymy tę dyskusję wewnątrz?

- Musisz się zgodzić. Weźmiesz moje pieniądze. Przynajmniej połowę. Załóżmy, że twoja płyta sprzeda się w milionach egzemplarzy, co wtedy?

- Wtedy byłoby wspaniale, ale to mało prawdopodobne.

Obydwoje byli już przemoknięci. Marisa wyglądała w tej chwili jak uczestniczka konkursu mokrego podkoszulka.

- Rusz się, Marisa.

- Nie. Powiedz, że weźmiesz moje pieniądze. Powinien przerzucić ją sobie przez ramię i wnieść do środka, ale zbyt

mu się podobała, uparta, zadziorna, pełna energii, zlaną deszczem, w przemoczonej sukience. Czy to kłótnia tak go podnieciła?

- Naprawdę chcesz, żebym wziął twoje pieniądze? Marisa przewróciła oczami.

- Jeszcze pytasz?

- To pokaż mi piersi.

Zamrugnęła gwałtownie.

- Słucham?

- Rozepnij suknię i pokaż mi piersi. - Jake oparł się o kontener. - Jeśli to zrobisz, zastanowię się, czy mam przyjąć pieniądze.

Był pewien, że Marisa nie spełni jego prośby. Rozejrzała się niepewnie.

- Tutaj?

Jake wzruszył ramionami.

- Nikt cię nie zobaczy. Normalni ludzie w taką ulewę nie wychylają nosa na zewnątrz.

Przygryzła wargę.

- Przyrzeknij, że wezmiesz pieniądze, jeśli to zrobię. Niemożliwe. Skrewi w ostatniej chwili. Wyglądała tak seksownie, jak jeszcze nigdy. Następnym razem będą musieli kochać się pod prysznicem.

- Przyrzekam, że wezmę tyle, ile będzie mi potrzebne na nagranie nowych taśm, zgoda?

Spojrzała na niego spod rzęs, na których wisały krople deszczu, i dotknęła pierwszego guzika.

- Przyrzekłeś.

Nie. Marisa tego nie zrobi. Błefuje. W każdej chwili do zaułka mógł wjechać jakiś samochód. Nie odważy się.

Powoli zaczęła odpinać guziki sukni.

Jednak się odważyła. Nie docenił jej.

Musi jej powiedzieć, żeby przestała. Natychmiast. Sięgnęła do zapięcia stanika, a zapinany był z przodu, po czym ujęła piersi w dłonie.

Koniec z tobą, Jake.

- I co zrobił?

- Zabrał mnie do domu.

Lucy przysiadła na brzegu wanny.

- I co dalej?

- Nic. - Marisa spojrzała na swoje odbicie. - Zostawił mnie tutaj i wrócił do studia. Ta szminka nie jest zbyt czerwona?

- Wrócił do studia?

- Szminka, Lucy.

- Szminka jest akurat. Dlaczego wrócił do studia? Dobre pytanie. Sama zadawała je sobie od dwóch tygodni i dotąd nie znalazła odpowiedzi.

- Mówiłam ci, zawarliśmy porozumienie. Nie dotykamy się. W ogóle. Prawie ze sobą nie rozmawiamy. Nie patrzymy na siebie. Jake rzadko bywa w domu. Cały czas siedzi w studiu i odrabia stracone pieniądze.

- Wycofuje się.

- Nie, to ja się muszę wycofać. Całe lata słyszałam, że nie chce mieć żony i dzieci, a potem raptem coś sobie uroiłam.

- Chcesz powiedzieć, że mogłabyś wyjść za męża?

- Kto wie. Gdyby moim mężem miał być Jake, może zaakceptowałabym w końcu małżeństwo. - Jake jej mężem. Akurat.

- Poddasz się?

- Żeby się poddać, trzeba mieć jakieś szanse na początki, ja ich nie miałam.

Marisa włożyła czarną, dopasowaną suknię. Pierwszą dopasowaną suknię, jaką w życiu kupiła. Wreszcie przestała wstydić się swojego ciała, dobrze się poczuła we własnej

skórze i w dużej mierze zawdzięczała to Jake'owi. Gdyby nie rozpoczęli kampanii „Dziecko”, pewnie nigdy nie odkryłaby, czym może być uprawianie miłości. Przeżyłaby resztę życia w przekonaniu, że seks jest wstrętny i niemoralny. A że miała ciało „stworzone do seksu”, jak mówiła jej matka, uwierzyła, że sama jest niemoralna.

- Zapniesz mi zamek? - Uniosła włosy i odwróciła się plecami do Lucy.

- A właściwie to czemu on nie chce? - zainteresowała się Lucy.

- Czego nie chce?

- Mieć żony i dzieci.

- Wiesz, że nigdy go o to nie pytałam, ale od kiedy pamiętam, zakładałam, że to urazy z dzieciństwa.

- Powinnaś zapytać. Powód może okazać się idiotyczny. Na przykład nie znosi widoku suszących się na prysznicu rajstop albo nie toleruje, kiedy ktoś mu wyrywa pilota.

- Lucy, kiedy facet przez lata uparcie powtarza, że nigdy się nie ożeni i nie będzie miał dzieci, musi mieć po temu poważne powody.

Lucy miała rację. Powinna zapytać. Do tej pory przyjmowała deklaracje Jake'a jako coś oczywistego, część jego osobowości.

Ona sama potrafiła dość prosto wyjaśnić własne stanowisko. Przeżyła cztery małżeństwa matki i legion jej mniej oraz bardziej przygodnych partnerów seksualnych i wyciągnęła z tego jedną ważną naukę dla siebie: nie ma szczęśliwych związków.

Teraz nie była już tego taka pewna. Z łatwością mogła wyobrazić sobie swój własny szczęśliwy związek z Jakiem, pod warunkiem, że przestałby się zachowywać jak ostatni głupek.

Pozostawał przy tym jeszcze jeden drobny problem: Jake jej nie kochał.

- W każdym razie upewnij się, że to żaden problem genetyczny - poradziła życzliwie Lucy. - Ten facet ma być ojcem twojego dziecka.

- O cholera! W południe miałam zrobić test owulacyjny. - Spojrzała na zegarek: po drugiej. Jeśli Jake nie przyjedzie zaraz do domu, żeby się przebrać, spóźnią się na ślub ojca.

- Zostawić cię samą?

- Właściwie to owulacja powinna się zacząć dopiero za kilka dni, ale wolałabym na wszelki wypadek sprawdzić.

Marisa zrobiła test, skończyła się ubierać, Lucy tymczasem wpatrywała się we wskazówki zegara.

- Już można odczytywać - oznajmiła. - Masz dwie fioletowe kreski.

Marisa odwróciła się gwałtownie.

- Żartujesz, prawda?

- Nie, sama zobacz.

Lucy miała rację. Test jasno wskazywał, że owulacja się zaczęła.

Co oznaczało, że musi zabiegać o uwagę faceta, który ostatnio nie potrafił kilku minut spędzić z nią razem w jednym pomieszczeniu. A niech to.

- Nie wyglądasz na specjalnie uszczęśliwioną.

Marisa wrzuciła test do kosza.

- On mnie unika jak zarazy. Coś go gryzie. Może się rozmyślił? Może już nie chce być ojcem mojego dziecka i nie wie, jak mi to powiedzieć? Ja sama już nie wiem, czego chcę. Myślałam, że damy sobie radę, teraz nie jestem wcale tego taka pewna.

- Mariso, od lat myślisz o dziecku. Teraz, kiedy jesteś tak blisko celu, nie wycofuj się, nie rezygnuj.

Marisa pokręciła głową.

- Jeśli to ma zniszczyć naszą przyjaźń, gotowa jestem zrezygnować. Ona ma tylko mnie, a ja jego...

Otworzyły się drzwi wejściowe, w sekundę później rozległ się odgłos rzucanych na stół kluczyków. Jake.

- Obiecuj, że pójdziesz z nim do łóżka - szepnęła jeszcze Lucy.

Marisa uściskała ją serdecznie. Tylko Lucy potrafiła wyartykułować tak niezwykłą prośbę.

- Zastanowię się.

Obydwie wyszły z łazienki. Jake stał przy stole kuchennym i przeglądał pocztę. Ledwie podniósł głowę, nie zauważył nawet nowej sukni Marisy, co wcale jej nie zdziwiło.

- Cześć, dziewczyny - mruknął.

- Spóźniłeś się - zauważyła Marisa z niejakim wyrzutem.

- Miałem mnóstwo roboty w studiu. Zaraz będę gotowy. - Odwrócił się i ruszył w stronę sypialni.

W Marisie w tym momencie coś pękło.

- Co się z tobą dzieje?! - wykrzyknęła, idąc za nim.

- Czemu mnie unikasz? Co ja zrobiłam, że patrzeć na mnie nie możesz?

Jake stał obok szafy z taką miną, jakby miał zamiar wcisnąć się między ubrania i zatrzasnąć za sobą drzwi.

- Nic nie zrobiłaś. To chodzi o mnie.

- Tak?

- Powinniśmy poważnie porozmawiać.

- Teraz? - Marisa spojrzała na zegarek. „Poważna rozmowa” nie obiecywała nic dobrego. - Nie mamy już czasu. Przebierz się, rozmawiamy w drodze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jake kurczowo ścisnął kierownicę. Był pewien, że Marisa go znenawidzi, ale musiał jej powiedzieć. Nie miał wyboru. Nerwowo rozluźnił krawat, który sama mu zawiązała.

- Mów - zażądała.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Wszystko jedno, po prostu zacznij. Wziął głęboki oddech.

- Kojarzysz sobie tę producentkę, która ostatnio często bywa w barze?

- Producentkę?

- Tę blondynkę. Myślałaś, że się z nią spotykam. - Zerknął ostrożnie na Marisę. Wreszcie dostrzegł nową suknię. Dostrzegł i docenił. Do tego stopnia, że teraz nie mógł przestać myśleć, jak Marisa wyglądałaby bez niej.

- Producentka... A ja myślałam, że to...

- Nie, producentka. Bardzo dobra producentka. Marisa zmarszczyła czoło.

- Co ona ma z nami wspólnego? Spotykasz się z nią.

- Nie - zaprzeczył Jake ze śmiechem. - Nie spotykam się z nią. Jej mąż pewnie nie byłby zachwycony. - Jake jeszcze bardziej kurczowo zacisnął dłonie na kierownicy. - Załatwiła mi półroczną trasę. Całe Stany. Początek w Nowym Jorku, zakończenie w Kalifornii.

- Pół roku?

- No właśnie - bąknął. - Wiem, dziecko... Nasza umowa... ale to wielka szansa. Świetne pieniądze. Zarobię tyle, że będę mógł spokojnie skończyć płytę.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytała spokojnie.

- Jutro.

- Jutro?

Na twarzy Marisy odmalował się cały wachlarz emocji: złość, pomieszanie, rozczarowanie. Ból. Cholera, nie chciał jej urazić, nie chciał sprawić jej bólu.

- A te pieniądze, które ci dałam?

- Zainwestowałam je. Dla dziecka. Wracając do mojej trasy... - brnął dalej. - Pomyślałem, że dałoby się to jakoś zorganizować. Mógłbym przylatywać do domu, kiedy będziesz miała płodne dni, choćby na kilka godzin.

- To obłądny pomysł. Już raczej poczekam na twój powrót. Zamierzasz chyba wrócić?

- Zamierzam, oczywiście... - bąknął Jake i ujął dłoń Marisy. - Przepraszam cię. Tak mi głupio. Wiem, jakie to dla ciebie ważne.

Marisa patrzyła w szybę niewidzącym wzrokiem. Nigdy nie poprosiłaby Jake'a, żeby zrezygnował z trasy, ale nie mogła pogodzić się z myślą, że wyjedzie na tak długo. Czuła się tak, jakby umierała.

- Liczyłem jeszcze, że przed moim wyjazdem będziesz miała owulację i że...

- Robiłam dzisiaj test - przerwała mu. - Nie mam owulacji - skłamała.

Ślub był piękny, ale Marisa czuła się zbyt nieszczęśliwa, żeby docenić w pełni urok ceremonii. Dopiero kiedy Joseph do niej podszedł i poprosił ją do tańca, ocknęła się z przygnębienia: nie chciała zdradzać się przed nim ze swoimi uczuciami.

- Uroczy ślub - powiedziała uprzejmie. Joseph potoczył wokół dumnym wzrokiem.

- Powiedziałbym, że jak dotąd najbardziej udany ze wszystkich.

- Jak dotąd?

Parsknął śmiechem na ten lapsus, czym wprowadził Marisę w prawdziwe zdumienie, bo nigdy dotąd nie widziała go śmiejącego się.

- To już ostatni - poprawił się. - Piąty. Piątka to moja szczęśliwa liczba.

- Julia jest wspaniałą osobą. I będzie równie wspaniałą matką. Musisz być bardzo szczęśliwy.

- Szczerze mówiąc, jestem przerażony - szepnął. Zaniemówiła na chwilę. Joseph przyznający się do swoich lęków? Nie wierzyła, że go na to stać.

- Co cię tak przeraża?

- Sama wiesz - objął ją mocniej. - Za pierwszym razem raczej się nie popisałem jako ojciec - przyznał z nutą żalu w głosie. - Dla Julii rodzina jest bardzo ważna. Dla mnie też.

Piosenka się skończyła i Joseph chwycił Marisę za rękę, jakby bał się, że mu ucieknie, ale ona nie miała zamiaru kończyć pierwszej ludzkiej rozmowy z własnym ojcem.

- Wiesz, że kiedyś już tańczyłem z tobą?

- Tak? - zdziwiła się.

- Nie pamiętasz. Miałaś wtedy może trzy lata i chciałaś zostać baletnicą: ciągle wirowałaś w tańcu po całym domu. Stawałaś na moich stopach i tak tańczyliśmy na środku bawialni.

Rzeczywiście nie pamiętała czasów, zanim rodzice się rozeszli, ale gdzieś w głębi duszy czuła, kiedy zapominała o wszystkich urazach, że kiedyś musieli być szczęśliwi ze sobą: kochający się ojciec i córka.

Czy możliwe było odbudowanie tamtych relacji? Czy mogła znowu mieć rodzinę?

Czy to kwestia świątecznego nastroju, czy smutku z powodu wyjazdu Jake'a, w każdym razie była gotowa uwierzyć, że tym razem Joseph jej nie zawiedzie.

- Popatrz - odezwał się. - Potrafimy jednak nie kłócić się. Może wpadniesz do nas od czasu do czasu na kolację i spróbujemy rozmawiać ze sobą jak ludzie?

Marisa uśmiechnęła się.

- Spróbujmy.

- Możesz zawsze przyprowadzić Jake'a.

W jednej chwili wrócił smutek i poczucie osamotnienia.

- Jake wyjeżdża jutro w trasę. Nie będzie go pół roku.

Walczyła ze łzami. Nie mogła, nie chciała się rozbeczeć na środku parkietu, przy ojcu.

- Wiem, ile Jake dla ciebie znaczy, i wiem, że ty też jesteś mu bardzo bliska - powiedział Joseph. - Mam za sobą cztery nieudane małżeństwa i może nie jestem najlepszym powiernikiem, ale pamiętaj, że zawsze możesz przyjść do mnie ze swoimi problemami.

- Dziękuję - szepnęła. - To dla mnie bardzo ważne.

- Naprawdę? - W głosie Josepha zabrzmiało niemal błaganie.

- Naprawdę - przytaknęła. - Ważniejsze niż możesz przypuszczać.

- Wiem, że nie będzie nam łatwo, Mariso. Musimy dopiero zacząć się poznawać, uczyć się siebie nawzajem. Myślisz, że będziesz potrafiła mi ufać?

Gdyby teraz odważyła się powiedzieć słowo, rozszłochałaby się. Odpowiedziała mu bez słów. Zrzuciła jeden pantofel, potem drugi i stanęła mu na stopach.

Joseph objął ją i zaczęli tańczyć.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kiedy wrócili z wesela, Marisa szybko przebrała się w piżamę, zwinęła na łóżku i patrzyła, jak Jake się pakuje. Jeszcze nie wyjechał, a ona już czuła się samotna, opuszczona. Właściwie opuścił ją już kilka tygodni wcześniej.

Dlaczego się od niej odsunął? Czego się bał?

- Chciałam cię o coś zapytać.

- O co?

- Dlaczego powiedziałeś sobie, że nigdy się nie ożenisz?

Dlaczego nie chcesz mieć dzieci?

- Czemu pytasz? Uniosła się na łokciu.

- Chcę wiedzieć. Ciągłe powtarzasz, że nie chcesz mieć żony, dzieci, ale nigdy nie powiedziałeś dlaczego.

- Nie to, że nie chcę. Nie mogę. To chyba oczywiste.

- Widać nie, skoro nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Chodzi o moją rodzinę. - Jake wrzucił do torby ostatnią parę skarpetek i ruszył do łazienki. Marisa za nim.

- Co jest nie tak z twoją rodziną?

- Co jest nie tak? Jeszcze pytasz? Ojciec był alkoholikiem i terroryzował nas wszystkich, a braciszek kryminalistą. - Wyjął szampon, maszynkę do golenia i zatrzasnął drzwi szafki. - Jeszcze nie rozumiesz?

- Obawiam się, że nie. Nie wiem, co to ma wspólnego z decyzją o małżeństwie. Boisz się, że żadna nie będzie cię chciała?

Jake westchnął ciężko.

- Matka ciągle mi powtarzała, że na naszej rodzinie ciąży klątwa. Ojciec rządził pięścią, podobnie obaj dziadkowie. Mamy to we krwi. Mam unieszczęśliwić żonę? Być takim samym ojcem jak mój ojciec i moi dziadkowie?

Marisa oniemiała. Przez chwilę nie była w stanie wypowiedzieć słowa.

- Chcesz powiedzieć... - wykrztusiła wreszcie - że nie ożenisz się, bo ciąży na tobie klątwa? A jak byś się, nie daj Boże, ożenił, to z dnia na dzień zamienisz się w katującego rodzinę alkoholika?

Jake zasunął zamek przy torbie.

- Mniej więcej.

Mów coś, myślała Marisa. Oto masz jego „powód”, żeby nie zakładać rodziny. Sama nie była lepsza. Ponieważ była zewnętrznie podobna do matki, przez całe lata trwała w przekonaniu, że odziedziczyła po mamusi charakter. Dopiero cierpliwość Jake'a, jego wiara w nią wreszcie pozwoliły jej uwolnić się od lęku. Teraz miała okazję uczynić to samo dla niego. Jeżeli Jake zechce słuchać.

- Przyszło ci do głowy, że możesz przekazać tę swoją „klątwę” naszemu dziecku?

- Owszem, przyszło, ale mam nadzieję, że odziedziczy więcej cech po tobie niż po mnie.

- Co jest gorsze: alkoholizm i stosowanie przemocy w domu czy zaburzenia seksualne?

- Mariso, nie rób z siebie dewiantki seksualnej.

- Moja matka była mocno zaburzona, jeśli chodzi o tę sferę życia. Ja nie robię z siebie dewiantki. Nie twierdzę, że odziedziczyłam jej odchyły. To absurd. Taki sam jak twoje przekonanie, że wdałeś się w tatusia i dziadków. Powiedz mi, kiedy ostatnio upiłeś się tak, że urwał ci się film?

Jake wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam dokładnie.

- Nie żądam daty dziennej. Mniej więcej. Wczoraj? Tydzień temu? Miesiąc temu?

- Po pogrzebie mojej matki.

- Po pogrzebie twojej matki, tak? Trzydzieści lat temu?

- I co?

I co? To wszystko co miał do powiedzenia?

- Pamiętam, jaki byłeś załamany i wściekły. Gdyby matka wcześniej poszła do lekarza, gdyby wcześniej wykryto, że ma raka, mogli ją uratować, ale ojciec nie pozwalał jej na wizyty u lekarzy, bo wiecznie była posiniaczona. Pośrednio był odpowiedzialny za jej śmierć. Byłeś zrozpaczony, wściekły. Kogo wtedy pobiłeś?

Jake poderwał głowę.

- Co?

- Byłeś pijany, byłeś wściekły. Pytam, kogo wtedy pobiłeś. Ile osób stukłeś? Tak przecież robią wszyscy faceci w twojej rodzinie, prawda? No więc ile osób?

- To jakiś idiotyzm.

- Może, ale odpowiedz: ile?

- Nikogo. - Jake podniósł ręce do góry. - Nigdy nikogo nie pobiłem, w porządku? Kiedy masz taką rodzinę jak ja, ludzie z tobą nie zadzierają, co nie znaczy, że nie może mi odbić. Przypomnij sobie tego faceta w barze, który się do ciebie przystawiał.

Prychnęła.

- Zabiłeś go? Zrobiłabym mu większą krzywdę niż ty, gdybym kopnęła go w krocze, jak zamierzałam.

- Muszę skończyć się pakować - burknął, ale Marisa stała w drzwiach łazienki i nie zamierzała go przepuścić. Spróbowała inaczej do niego przemówić.

- Tamtego wieczoru, po pogrzebie twojej matki, zabrałam cię do siebie...

- Pamiętam, że rano obudziłem się koło ciebie, w twoim łóżku.

- Prawie cię niosłam do domu, co nie było łatwe, bo byłeś znacznie ode mnie wyższy i cięższy. Kiedy wreszcie cię dotargałam na miejsce, długo siedziałeś jak głaz, a potem położyłeś głowę na moich kolanach i płakałeś, płakałeś, dopóki nie usnąłeś zupełnie wyczerpany. Wtedy cię

pocałowałam. Odważyłam się, bo byłeś nieprzytomny. Inaczej nigdy bym się na to nie zdobyła. Bałam się odrzucenia. Całe życie bałam się odrzucenia. Mam tego dość, Jake. Nie chcę się już bać. Te ostatnie tygodnie, kiedy trzymałeś się ode mnie z daleka, były okropne, ale przynajmniej coś czułam. Po raz pierwszy czułam, że żyję, zamiast przyglądać się światu z bezpiecznej odległości. I coś jeszcze ci powiem. Chciałam mieć dziecko, bo podświadomie wyobrażałam sobie, że ono będzie żyło i dorastało niejako za mnie, a ja będę bezpiecznie tkwiła w swojej mysiej norze. To się zmieniło. Chcę żyć, chcę być dojrzałym człowiekiem. Jake słuchał jej w milczeniu.

- Nie pragniesz tego samego? Nie chcesz się przekonać, że jesteś lepszy, niż ci się wydaje? - Położyła mu dłonie na ramionach i powtórzyła: - Nie chcę się już bać, Jake. Kocham cię, razem z tą twoją klątwą czy bez klątwy. Masz dwie możliwości. Albo przyjmiesz moją miłość i odpowiesz miłością, albo pozwolisz, żeby życie przepływało obok ciebie. Ja dłużej nie zamierzam czekać.

- Marisa, ja... - nie dokończył zdania, wbił wzrok w podłogę.

Nie mógł wyrazić tego jaśniej. Nie kochał jej. W każdym razie nie kochał jej tak, jak ona jego. Opuściła ręce, cofnęła się. Przynajmniej zdobyła się na odwagę, spróbowała.

Chwycił jej dłoń.

- Dokąd idziesz?

- Chcę się położyć. - Obydwoje potrzebowali teraz czasu dla siebie, każde musiało zostać samo ze swoimi myślami, ale Marisa jedno wiedziała na pewno. Cokolwiek postanowią, nigdy już nie będzie między nimi tak, jak dawniej.

Nie mogła zasnąć. Jake wyjeżdżał w trasę nie dla pieniędzy i nie dla kariery. Miał dość pracy w Detroit. Uciekał od niej.

Nie wiedziała, ile czasu minęło: pięć minut czy pięć godzin, kiedy poczuła, że Jake kładzie się obok niej. Otworzyła oczy, żeby upewnić się, że wyobraźnia nie płata jej figla. Przetarła oczy.

- Która to godzina?

- Późno.

- Co tu robisz?

- Musiałem przyjść. Chcę być z tobą. Chcę się z tobą kochać i wszystko mi jedno, czy łamiemy jakieś zasady. Potrzebuję cię, Mariso.

Te trzy proste słowa odmieniły wszystko. Ona też potrzebowała jego. Jak powietrza w płucach. Jak krwi w żyłach.

- Tak bardzo za tobą tęskniłem - szeptał, dotykając wargami jej ust. - Tyle czasu zmarnowaliśmy.

- Mamy przed sobą mnóstwo czasu. Tysiąc nocy.

- Tysiąc to za mało. Chcę spędzać z tobą każdą noc. Do końca życia. Cokolwiek się stanie, cokolwiek zrobię, chcę, żebyś wiedziała jedno: kocham cię, Mariso. Zawsze cię kochałem. Okłamywałem się przez siedemnaście lat, ale w głębi serca zawsze czułem, że cię kocham. Spędźmy tę noc razem.

Nie mogła powiedzieć słowa, skinęła tylko głową. Kiedy obudziła się rano, już go nie było.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Leżała odrętwiała na kanapie i wpatrywała się w sufit. Jego wyjazd sprowadził ją z powrotem na ziemię, uświadomił jej, że Jake nigdy się nie zmieni. Nigdy nie uwierzy, że jest dobrym, wartościowym człowiekiem. Będzie wiecznie uciekał, a ona nie miała już siły go ścigać.

To koniec.

Nie. Nie koniec. Jeśli jest w ciąży, musi żyć dla siebie i dla dziecka.

Usiadła, owinęła się prześcieradłem, wstała i przewróciła się, lądując na kolanach.

Potknęła się o torbę Jake'a.

Nic nie rozumiała. Wyjechał i nie zabrał swoich rzeczy? Próbowwała pozbierać myśli.

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku, drzwi się otworzyły i wszedł Jake.

W jednej dłoni trzymał dwa kartonowe kubki z kawą z baru na rogu, pod pachą torbę z piekarni. Zamknął drzwi kopnięciem.

- Dzień dobry. Czemu siedzisz na podłodze? Patrzyła na niego z otwartymi ustami.

- Potknęłam się.

- Przepraszam. Wyjmowałem ubranie i zostawiłem torbę koło kanapy. - Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. - Skończyła się nam kawa. Kupiłem też muffinki. Dobrze się czujesz? - zapytał, kiedy nie odpowiadała.

Wyszedł tylko po kawę?

To ona pożegnała się z nim już na zawsze, pogodziła się z losem, a on poszedł do baru na rogu, po drodze wstępując do piekarni?

- Zdziwiłaś się? Kiwnęła głową.

- Myślałaś, że pojechałem w trasę? Znowu kiwnęła mechanicznie głową.

- Nigdzie nie jadę. Zapomnij o tym. Rozumiesz? Posadził ją sobie na kolanach, objął mocno i zaczął kołysać jak dziecko.

- Ja... myślałam... że to koniec - rozszlochała się.

- Ciii... - próbował ją uspokoić. - Nadal nie jestem do końca przekonany, czy będziesz ze mną szczęśliwa, ale będę się starał ze wszystkich sił, żebyś była. - Ujął jej twarz w dłonie. - Kocham cię.

- Ja... też cię... kocham.

- Mam nadzieję, że to łązy szczęścia.

- Tak - przytaknęła. - Życie jest wreszcie takie, jakie powinno być.

- Wiesz co? Zamkniemy drzwi na klucz, wyłączymy telefon i cały dzień spędzimy w łóżku. O kurczę, zapomniałem...

- Co takiego?

- Nie możemy.

- Dlaczego nie?

- Powinniśmy poczekać, aż będziesz miała owulację. Muszę się powstrzymać, żeby nie marnować szansy.

Marisie łązy strumieniem spływały po policzkach. łązy szczęścia.

- Nadal chcesz mieć dziecko?

- Chcę mieć wszystko. Żonę, dom, dzieci, ogród i huśtawkę. Ale jeśli każesz, mogę poczekać.

Na ustach Marisy pojawił się uśmiech.

- Chyba już za późno. Obawiam się, że już się stało. Ostatniej nocy.

- Jakim sposobem? Przecież mówiłaś, że nie masz owulacji.

- Skłamałam. Nie chciałam, żebyś się ze mną kochał z obowiązku. Chciałam, żeby to było naprawdę.

- I było naprawdę. - Położył ostrożnie dłoń na jej brzuchu.
- Powiadasz, że tam teraz jest coś ze mnie?
- Tak. To, co najlepsze.
- W takim razie musimy wziąć ślub. Natychmiast. Marisa zrobiła poważną minę.
- Zgadzam się, ale najpierw trzeba ustalić zasady. I trzymać się ich.
- Zasady, tak? - Pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko. - Może to i niezły pomysł.
- Po pierwsze, absolutna szczerłość.
- Jasne - zgodził się. - I żadne z nas nie będzie sypiało z nikim innym.
- Oczywiście.
- I będziemy się kochać, gdzie tylko przyjdzie nam ochota, codziennie.
- Codziennie?
- Przynajmniej raz dziennie. Najmarniej. I będę ci powtarzał, że cię kocham, żeby nadrobić stracony czas. - Pogłaskał jej brzuch. - I będę dobrym mężem i dobrym ojcem.
- W to nie wątpię, ale mam jedno pytanie.
- Tak?
- Kiedy zaczynamy?